6 stron z dodatkiem „ŻYCIE KRAJU“

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

Cena 1/6

ROK IX. Nr 16 (408)

LONDYN, 17 KWIETNIA 1955 R.

PUNKTY WIDZENIA

ROK MICKIEWICZOWSKI

Rok Mickiewiczowski w Kraju przygotowuje partia rządząca dla swoich własnych celów, nic więc dziwnego, że będzie on dłuższy od roku kalendarzowego 1955, a to dlatego, aby starczyło czasu na wszechstronne przenicowanie twórczości Mickiewicza i jego epoki w duchu dialektycznego materializmu. Imprezy, które nie wymagają ideologicznego przygotowania, będą podjęte wcześniej. Tak więc pomnikowe (a równocześnie popularne) wydanie wszystkich pism Mickiewicza, tzw. narodowe, pod redakcją prof. Leona Płoszewskiego, w znacznej części przygotowane jeszcze przed wojną, jest już niemal gotowe (zostanie ono wznowione w poprawionym i masowym Wydaniu Jubileuszowym w 16 tomach), niebawem wyjdzie „Pan Tadeusz“ w kieszonkowym wydaniu i wielomilionowym nakładzie, na Starym Mieście w Warszawie przygotowuje się wystawę pamiątek po poecie i druków z jego życiem i twórczością związanych, językoznawcy opracowują kilkutomowy słownik Mickiewiczowski, planowane są liczne obchody lokalne. Na szczególną uwagę zasługują następujące plany edytorskie: pomnikowa Bibliografia Mickiewiczowska w trzech tomach, przedśmiertne dzieło Aleksandra Semkowicza, najskrzętniejszego kolekcjonera i bibliografa druków Mickiewicza i dotyczących poety, antologia p.t. „Mickiewicz w oczach współczesnych“, wydanie fotograficzne rocznika 1849 „Trybuny Ludów“, w którym Mickiewicz ogłaszał swoje artykuły polityczne, wydanie zbiorowe listów do Mickiewicza.

Dnia 21 lutego br. w urzędzie rady ministrów w wyniku obrad powołano Komitet Obchodu Roku Mickiewiczowskiego, w skład którego wejdą wybitne osobistości ze środowiska naukowego i literackiego oraz działacze kulturalni.

Wszystkie powyżej wymienione plany mają jednakże znaczenie drugorzędne. W ustroju komunistycznym nie ma miejsca na idealizm i formalizm, a czczenie bądź co bądź burżuazyjnego poety, fideisty, nacjonalisty, a bodajże i lewaka mogłoby mieć posmak kontrrewolucyjny. Adam Mickiewicz jest potrzebny partii dla celów dialektycznych, dla zrobienia zeń tego, co jest w obecnej chwili „w drodze do pełnej realizacji socjalizmu w Polsce“ potrzebne. Mickiewicza da się nawet z powodzeniem użyć na forum światowym, toteż Światowa Rada Pokoju ogłosiła rok bieżący Mickiewiczowskim, a podwładne jej komórki przystąpiły do organizacji narodowych obchodów w wielu krajach Wschodu i Zachodu.

W Polsce spreparowaniem Mickiewicza ma się zająć partyjno-państwowa Egzekutywa Obchodu R. M. z ministrem kultury i sztuki W. Sokorskim na czele. Historycy literatury, językoznawcy i filologowie są w poszczególnych sekcjach owej Egzekutywy zaledwie tolerowani. Celem prac poszczególnych sekcji mają być tzw. „badania kompleksowe“ okresu lat 1820 - 1863, w wyniku których narzędzie partii — Polska Akademia Nauk przygotuje „Sesję Romantyzmu“, podobnie jak w roku 1951 przygotowała „Sesję Oświecenia“, a w r. 1953 „Sesję Odrodzenia“. Podsumowania cyklu sesji naukowych dokona Centralna Sekcja Naukowa Polskiej Akademii Nauk, z udziałem gości zagranicznych, w pierwszych miesiącach roku 1956. Mówiąc językiem bardziej zrozumiałym, przez rok bieżący będą pracowały 4 sekcje i kilka grup Ekzekutywy Obchodu R. M., aby dokonać syntezy marksistowsko-leninowsko-stalinowskiego poglądu na dzieje Polski w latach 1820 - 1863 oraz na polski romantyzm jako epokę zmierzchu feudalizmu i rodzenia się kapitalizmu.

Sekcje i grupy posiadają z góry określony „problem badawczy“ i zajmą się m.in. następującymi zagadnieniami: „kształtowanie się bazy burżuazyjnego narodu polskiego“, „problematyka walk narodowo - wyzwoleńczych“, „Mickiewicz jako polityk“, „historia myśli społecznej i kształtowanie się ideologii okresu“. Egzekutywa uprzedzając wyniki „badań kompleksowych“ wydała z góry polecenie wyprowadzenia z nich następujących wniosków:

1) Mickiewicz był „bojownikiem postępu Polski i całego świata“ na tle walk narodowo - wyzwoleńczych w Polsce i ruchów wolnościowych w Europie;

2) badania powinny pogłębić i upowszechnić wiedzę o okresie walk narodowo-wyzwoleńczych i dążeń rewolucyjnych całej Europy w pierwszej połowie XIX wieku;

3) badania powinny się przyczynić do likwidacji fałszych legend i poglądów, utrwalonych przez burżuazyjną historiografię.

Cele obchodu Roku Mickiewiczowskiego w Polsce określiła zatem partia komunistyczna niedwuznacznie. Z tego nie wynika, oczywiście, aby mimo to w Kraju nie dokonano wielu cennych prac naukowych i aby znajomość, zrozumienie i miłość dzieł Mickiewicza nie pogłębiły się w narodzie. Jest przecież oczywiste, że siłą wpajana doktryna materializmu przyczynia się do tym jaśniejszego i pełniejszego zrozumienia właściwych wartości polskiej kultury i że zdradliwa działalność zaprzedanych naukowców pobudza nie tylko czujność, ale wprost czynny opór duchowy, a więc dążność do poszerzenia wiedzy w duchu tradycji polskiej i chrześcijańskiej.

* * *

Trzeba otwarcie przyznać, że emigracja jest do Roku Mickiewiczowskiego nieprzygotowana. Powołany z inicjatywy Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Polskiego Twa Naukowego i Stowarzyszenia Polskich Kombatantów Komitet Obchodu R. M. na Obczyźnie zakreślił sobie, jak wynika z wydanej przezeń odezwy, cele minimalne, a mianowicie: 1) „ująć rozproszone wysiłki w jedno łożysko“, 2) „pobudzić wszystkie skupienia polskie na świecie do tworzenia miejscowych komitetów“, 3) „szerzenie znajomości dzieł i życia poety“, 4) „wzmożenie działalności oświatowej i kulturalnej“, 5) „utworzenie funduszu stypendialnego im. A. Mickiewicza“. Ponadto autorzy odezwy złajali mocno „komunistyczny ład panujący w Polsce“, zapominając widać, że ład oznacza stan prawny, od którego bardzo daleki jest w tej chwili system rządów w Polsce.

Skromnym, żeby nie powiedzieć nijakim, celom emigracyjnego Komitetu odpowiada jego skład osobowy — urzędniczo - społecznikowski, którego zawodowym zajęciem — w takich czy innych wariantach personalnych — jest od wielu lat bezpłodne ujmowanie rozproszonych wysiłków w jedno łożysko, pobudzanie skupień, szerzenie znajomości, wzmaganie działalności i rzucanie inicjatyw różnych funduszów, które z reguły usychają w zarodku.

Celem emigracyjnego Komitetu powinno być danie odpowiedzi krajowej Egzekutywie. Mickiewicz istotnie był bojownikiem walk narodowo-wyzwoleńczych i postępu, ale w imię chrześcijańskich i polskich ideałów polityczno-społecznych. Przebywając na emigracji moglibyśmy wiele światła rzucić na związki Mickiewicza z Zachodem, na jego wpływ wśród narodów Europy, dokładnie oświetlić jego stosunek do katolicyzmu, do ówczesnych ruchów chrześcijańsko-społecznych itd. Czyż nie jest oczywiste, że socjalizm został zrabowany chrześcijaństwu lub też przez chrześcijaństwo zaprzepaszczony? Jakże wspaniałe horyzonty odsłaniają się przed badaczami mającymi dostęp do źródeł na Zachodzie?

Czy pomyślano o pogłębieniu badań nad okresem niemieckim, włoskim, szwajcarskim, francuskim życia Mickiewicza? Czy nie warto by prześledzić prasy obcej, szukając w niej śladów o życiu i twórczości wielkiego Polaka?

Czyż nie należałoby — wobec powstania komitetów obchodu przez Światową Radę Pokoju — przygotować obchodów Mickiewiczowskich dla obcych w W. Brytanii, Stanach Zjednoczonych, we Francji, Włoszech itd.?

Czy nie warto pomyśleć nad organizacją wielkiej manifestacji polskiej i zjazdu pisarzy (z zaproszeniem obcych) w dniu 26 listopada w Paryżu?

Pomysłów można by snuć bez liku. Niestety, zapowiedzi są mizerne. Dwa tylko zamierzenia ratują honor emigracji: zbiorowy tom prac naukowych o Mickiewiczu, który zresztą ukaże się dopiero za rok i popularne wydanie dzieł poetyckich Mickiewicza przez Katolicki Ośrodek Wyd. „Veritas“. Inne zapowiedzi są już to niepewne, już to tyczą się Mickiewicza w spoób pośredni.

Jest jeszcze trochę czasu, aby podjąć zamierzenia poważniejsze. Jesteśmy wprawdzie tu na emigracji biedni, ale bądź co bądź nie nędzarze.

J. B.

MARIA JASIUKOWICZOWA

Z PODZIEMIA NA ŁUBIANKĘ *)

NOMINACJA **Marzec 1943 r.**

Po powrocie do domu, wieczorem, mąż zawiadomił mnie, że przyjął przysłaną z Londynu nominację na ministra — członka czteroosobowej Krajowej Rady Ministrów.

Wiadomością tą byłam wprost zdruzgotana, cóż bowiem oznaczała ta nominacja?

Piastowanie wysokich stanowisk w aparacie Polski Podziemnej lub w AK było połączone ze szczególnym niebezpieczeństwem. Im ktoś wyższe piastował stanowisko, tym bardziej był narażony. Tym większą cenę płaciło Gestapo za jego głowę, a w razie aresztowania cięższym był poddawany torturom.

Przed oczyma mieliśmy wszyscy tragiczną i bohaterską śmierć poprzedniego Delegata Rządu na Kraj, prof. Jana Piekałkiewicza, zamęczonego przez Gestapo.

Było się czego lękać. A przy tym stopa życiowa tego, kto piastował wyższe stanowisko w Podziemiu, obniżała się niemal proporcjonalnie do wysokości jego stanowiska.

Człowiek taki musiał przede wszystkim zrezygnować z osobistego życia, zlikwidować swój dom. Był skazany na życie koczownicze.

Jakże często musiał zadawalać się nędznym pokoikiem, gdzieś na stryszku, gdyż tam właśnie było bezpieczniej.

Stanisław Jankowski, wicepremier Rządu R.P. i ostatni Delegat Rządu na Kraj, przez dłuższy czas miał pokój w zupełnie pustym i częściowo zrujnowanym domu. Wieczorem, po powrocie ze swych licznych spotkań i rozmów, musiał sam sobie palić w piecu, aby ogrzać choć trochę wyziębnięty pokój, musiał sobie przynosić wodę (wodociąg był uszkodzony) i sam sobie gotował strawę. Potem dopiero mógł się zabrać do odczytania przyniesionej prasy i do opracowywania swojej korespondencji i dokumentów Delegatury.

Dni wówczas były przeznaczone na konktakty z ludźmi, noce — na pracę.

Nic zatem dziwnego, że przyniesiona przez męża wiadomość podziałała na mnie druzgocąco. Oznaczała ona nieuchronną likwidację domu, rozproszenie rodziny i rozpoczęcie życia tułaczego.

Ale sprzeciwić się nie mogłam. Życie osobiste, życie rodziny schodziło wówczas bezapelacyjnie na plan drugi. Na pierwsze miejsce wysuwał się obowiązek i dobro sprawy.

Tej sprawie oddawali się całkowicie i bez reszty ludzie, pracujący w konspiracji. Wszyscy oni dawali maximum swego wysiłku, na jaki tylko było ich stać i pełnili swoją służbę przygotowani na najgorsze chyba, co może człowieka spotkać.

Ludzie Podziemia, a zwłaszcza istniejące i działające gdzieś w ukryciu Kierownictwo tego Podziemia nabierało dla szerszych kół społeczeństwa cech niemal nierealnych, stawało się symbolem toczonej walki.

W rzeczywistości byli to przecież realni ludzie, obdarzeni wszystkimi normalnymi cechami ludzkimi, podlegający na pewno tym samym co inni odczuwaniom i uczuciom.

Całe Podziemie, a więc i jego szczyty, nie było dobierane spośród jakichś „nadludzi“. Jeśli zaś życie w ciągu lat walki i nieustannych poświęceń wykuło z nich te naprawdę wspaniałe cechy, jakie charakteryzowały Polskę Podziemną, to chyba nasuwa się tu jedynie wniosek, że widać dobry to był materiał ludzki, który do tej kuźni życia wszedł.

W tym okresie, pomimo szalonego terroru, aparat administracyjny Polski Podziemnej, zarówno cywilny jak i wojskowy umacniał się i pracował coraz intensywniej, ujmując Kraj w ramy organizacyjne.

Delegat — trzeci z kolei — Stanisław Jankowski — dążył uparcie i wytrwale do usunięcia wszelkich pokutujących jeszcze w Kraju rozbieżności i różnic, dążył do zjednoczenia wszystkich odłamów politycznych, których wiele powstało po 1939 roku. I w znacznej mierze dzięki jego wysiłkom powstała Rada Jedności Narodowej polski Parlament Podziemny, w skład którego weszli przedstawiciele niemal wszystkich stronnictw.

Mając swój własny, niewielki może, odcinek pracy konspiracyjnej, byłam przecież o tyle blisko Delegata i jego najbliższego otoczenia, że nie mogłam nie uświadamiać sobie ogromu zadań i trudu podjętego przez Kierownictwo Podziemia. I dlatego nawet nie pomyślałam o jakichkolwiek zastrzeżeniach, posłyszawszy o tej nominacji mego męża.

Niezwłocznie natomiast przystąpiliśmy z mężem do ustalenia planu reorganizacji naszego życia. Zdecydowaliśmy, że córki nasze oddamy do Szymanowa. Miały one pozostawać tam nie meldowane i nikt poza nami i kilku najbliższymi przyjaciółmi nie miał wiedzieć, gdzie przebywają.

W przyszłości nawet nasze spotkania z nimi ograniczały się do krótkich zaledwie chwil.

Mieszkanie zostało pod opieką służącej. Miało ono służyć nadal jako miejsce spotkań. Nie można zresztą było jawnie likwidować mieszkań w tych czasach, można było jedynie dyskretnie się z nich usuwać.

Nasze mieszkanie miało pewne dobre cechy, mianowicie dwa pokoje od frontu były zarekwirowane i zajęte przez oficerów Gestapo, dzięki czemu całe mieszkanie było uważane za zajęte przez Niemców. Gestapowcy mieli klucze od frontu, my zaś od kuchni. I tuż pod bokiem tych lokatorów przychodziła od kuchni do mieszkania nielegalna prasa, depesze z Londynu, sprzęt radiowy i wiele innych rzeczy — to wszystko, za co normalną karą była kara śmierci.

W krótkim czasie wyszukałam w Brwinowie pod Warszawą mieszkanko, a właściwie dwa pokoje w domu pewnej samotnej wdowy. Poza tym mąż miał dwa inne swoje mieszkania, a ja również dwa, o których wiedzieliśmy jedynie tyle, że je mamy, ale ani ja nie znałam mieszkań mego męża, ani on nie znał moich. Nie można było bowiem być dość ostrożnym na wypadek aresztowania.

Mieszkanie w Brwinowie było bardzo dobre. Można było dojść do niego od trzech różnych stacji kolei i E.K.D., a że zasadą życia w konspiracji było nie powtarzać miejsca, dnia i godziny, miało się tu możliwość przyjechawszy wieczorem z jednej stacji, wyjechać rano z innej. Taka metoda zawsze myliła ślady.

Właścicielka domu była przemiłą staruszką, uważała nas za uchodźców z zachodniej Polski, pracujących w Warszawie.

Spotykaliśmy się w tym mieszkaniu 2-3 razy na tydzień, nie można było częściej, gdyż należało nieustannie zmieniać miejsca noclegów. Nieraz dopiero po południu można było się zdecydować, dokąd pójść na nocleg. Zależało to w dużej mierze od zasięgu łapanek ulicznych.

Od chwili swej nominacji na członka Krajowej Rady Ministrów mąż mój przyjął pseudonim Ignacego i pod tym pseudonimem pracował już do końca.

DZIEŃ PRACY IGNACEGO **Marzec 1944 r.**

Rok minął od mianowania Krajowej Rady Ministrów. Terror stosowany przez okupantów wzmagał się. Dokonywano masowych aresztowań, raczej na ślepo, rzadziej „na upatrzonego“.

Z szeregów pracowników Polski Podziemnej ubyło bardzo wielu, jednak jakimś dziwnym zrządzeniem losu fala aresztowań nie objęła nikogo z członków Delegatury. Bardzo ciężką stratę natomiast poniosła Komenda Główna Armii Krajowej przez aresztowanie gen. Grota-Roweckiego.

Zaostrza się walka podziemna. Na akty terroru ze strony okupanta odpowiadają wyroki Sądu Polski Podziemnej, a po nich następują egzekucje skazanych Niemców.

Nasilenie pracy konspiracyjnej potęguje się nieustannie. Coraz więcej też zadań staje przed aparatem Delegatury, coraz więcej wysiłku trzeba wkładać, by pracy tej podołać.

Chciałabym opisać normalny dzień pracy Ignacego, jeden z bardzo licznych szarych dni z okresu jego pracy jako ministra, okresu dwu lat.

* * *

Tej nocy Ignacy nocował w Brwinowie. Wstał więc bardzo wcześnie — jak zawsze — tak, aby pociągiem o 7.20 wyjechać do Warszawy.

W Warszawie, w małej kawiarence przy dworcu, wypija kawę, zjada małe warszawskie śniadanie, po czym rusza do swego oficjalnego biura.

Jeszcze w drzwiach kawiarenki — chwila postoju — i rzut oka, aby zorientować się, co się dzieje na mieście.

Niepokojące oznaki można dostrzec czy to z ruchów przechodniów, czy ze zjawienia się jakiegoś samochodu, a wreszcie z czegoś nieuchwytnego, z jakiegoś wyczucia instynktu, zaostrzonego w czasie lat okupacji niczym instynkt tropionego zwierzęcia.

Spokój wydaje się panować tego ranka. Na prawo, pod na wpół zburzonym murem stoi parę osób, jedna kobieta w czerni klęczy. W tym miejscu przed kilku dniami dokonano zbiorowej publicznej egzekucji. Widać kwiaty leżące pod murem, złożone nieznaną ręką w czasie nocy. Jeszcze policja nie zdążyła ich sprzątnąć.

Ignacy idzie w kierunku Kredytowej.

Jak każdy niemal mieszkaniec Warszawy, ma już niemal podświadomą tendencję wtopienia się w szarość ulicy i poranka. Byle jak najmniej zwracać na siebie uwagi. Pomaga w tym wyrudziały stary płaszcz i równie skromne nakrycie głowy, cechujące sylwetkę zubożałego warszawskiego inteligenta okupacyjnego czasu.

Na ulicy jest raczej pusto, nieliczni przechodnie przemykają szybko.

U wylotu ulicy na plac, na murze narożnego domu, czerwieni się świeżo nalepiony plakat, nowa lista zakładników. Zapewne za kilka dni te same nazwiska znajdą się na innej liście — liście rozstrzelanych.

Ignacy zatrzymuje się, aby przeczytać nazwiska — trzeba wiedzieć, kogo znów aresztowano.

Przez plac przejeżdża z łoskotem ciężarówka, napełniona SS-manami. Sterczą ku górze lufy karabinów, wielkie, ciężkie hełmy kryją prawie zupełnie twarze. Przez chwilę wszyscy wstrzymują oddech. Przejechali.

Ignacy wchodzi do budynku, w którym urzęduje. Wbrew zasadzie konspiracji, aby nie powtarzać dnia, godziny i adresu, urzęduje stale w tym budynku. Bo na parterze jest tu niemiecki urząd pracy. Niemcy nie kontrolują nikogo, kto tu wchodzi, zaś wchodzą przeważnie Niemcy. Dlatego lokal na pierwszym piętrze nad urzędem pracy daje większe gwarancje bezpieczeństwa niż niejedno zaciszne mieszkanie warszawskie.

W kilkanaście minut później toczy się już pierwsza tego dnia konferencja z kierownikami dwóch departamentów Delegatury, z którymi rozważane są plany dotyczące zamierzeń gospodarczych „po wojnie“.

Szeroko pomyślane i szczegółowo przepracowane plany przeobrażeń gospodarczych, przebudowy i odbudowy Kraju. Jest w tych rozważaniach coś więcej jeszcze; jest wiara w przyszłość, jest zdrowy optymizm, a zarazem stwarzanie sobie z wysiłku twórczego „na przyszłość“ jak ejś bariery ochronnej, broniącej przed potwornym dniem bieżącym.

Będzie lepiej, będzie dobrze. Głosy nabierają innego brzmienia, zjawiają się uśmiechy, wraca wiara w sens istnienia.

Konferencja się kończy, po jednemu, z zachowaniem największych ostrożności, wychodzą jej uczestnicy. Ignacy zostaje. Tego dnia oczekuje Bazylego.

Bazyli przychodzi punktualnie — co do minuty. Stary, bardzo doświadczony i twardy konspirator. Nie myślał, że mu jeszcze w życiu wypadnie czerpać z bogatego doświadczenia walk z okresu sprzed trzydziestu pięciu lat.

Bazyli jest opanowany, jak zawsze, choć głos mu trochę wibruje, gdy powtarza najnowsze wiadomości, przyniesione z miasta. Znów kilka osób „z roboty“ w nocy aresztowano. Z Pawiaka doniesiono o rozstrzelaniu na ruinach getta nowej partii więźniów, a przed godziną Niemcy dokonali nowej publicznej egzekucji w okolicy Placu Zamkowego.

I Bazyli i Ignacy wiedzą, że znów się nie doliczą kilku towarzyszy pracy. Mija spora chwila nim się im udaje skoncentrować na temacie, który był celem spotkania. Następnie jednak temat ten pochłania ich całkowicie i każe choć chwilę nie myśleć o niczym innym.

Chodzi o parę ostatnich depesz z Londynu — przychodzą pierwsze wiadomości o wynikach konferencji w Teheranie. Całokształt postanowień i wzajemnych zobowiązań nie jest dokładnie znany, lecz te wiadomości, które przenikają, budzą jak największy niepokój. Zarysowuje się niebezpieczeństwo naruszenia wschodniej granicy Polski.

O co tam chodzi? Co się tam, na Boga, dzieje?

Osiągnięcie zupełnego porozumienia w poruszanych sprawach między Bazylim i Ignacym nie nastręcza żadnych trudności. Niegdyś, będąc w pierwszych szeregach zwalczających się grup politycznych, niejednokrotnie się ostro ścierali. Dziś panuje między nimi zupełna harmonia. Te dawne spory wydają się dziś niezmiernie nikłe, a cel, do którego dążą jest zupełnie ten sam.

Wszystko dookoła się zmieniło, a na tle bliskiej współpracy wyrosły zupełnie inne wartości: zaufanie, wzajemny szacunek i szczera, głęboka przyjaźń.

Kończy się i ta rozmowa. Bazyli wychodzi.

Jest już południe. Ignacy opuszcza swoje biuro i idzie teraz w kierunku Brackiej, by zajrzeć do lokalu, w którym ma w tym tygodniu swoją skrzynkę. No — i trzeba coś zjeść.

Lokalik — mały sklep spożywczy i bar kawowy, jakich pełno powstało w Warszawie w okresie okupacji. Alkohol też jest pod ladą — dla swoich Wszystko nielegalne, ale legalny był w tym czasie tylko chleb kartkowy, a także marmolada o bardzo wątpliwej konsystencji i namiastka kawy.

Trudno byłoby wyżyć, odżywiając się „legalnie“, więc też wszędzie, we wszystkich sklepach, w bramach domów, w koszach, a wreszcie niemal jawnie, na ulicy, sprzedawano „towar szmuglowany“, chociaż tak często ceną za ten towar było życie szmuglującego.

Gdy Ignacy jest już na Brackiej, w pobliżu Placu Trzech Krzyży, słyszy ostry dźwięk sygnału samochodowego. Przez plac szybko przejeżdża karetka więzienna i tuż za nią drugi samochód wyładowany SS-manami. Z Alei Szucha na Pawiak odwożą aresztowanych, zapewne po „badaniu“. Codzienny to widok w tej dzielnicy, o tej godzinie.

W kawiarence już czeka na Ignacego jego łączniczka, Justynka. Przyniosła mu prasę i pocztę dzienną. Piją razem po filiżance kawy i po niedługiej chwili Justynka, otrzymawszy wszystkie bieżące polecenia, wychodzi.

Niemal w drzwiach mija ją jeden z najbliższych przyjaciół Ignacego, który go tu szuka. Przynosi wiadomości z miasta. Są one bardzo niedobre, są gorsze nawet niż te, które komunikował Bazyli.

Zginęło dwóch ludzi, bliskich ludzi, swoich i bardzo cennych. A ostatnie aresztowania nocne wyrwały z szeregów organizacyjnych jeszcze kilka jednostek też bardzo wartościowych. Następuje długa chwili ciszy, ciężkiej ciszy, gdy nic właściwie powiedzieć nie można.

Za chwilę na stoliku zjawia się alkohol. Częste bowiem były wówczas chwile, gdy był on konieczny — bynajmniej nie z nałogu. W tym okresie pili, nawet dużo, ludzie, którzy w normalnych warunkach życia z przekonania od alkoholu stronili.

Do stolika podchodzi młoda dziewczyna. Weszła dziwnie niespostrzeżenie. Zaproszona uśmiecha się pogodnie do Ignacego, przysiada obok niego i — rozbawiona, ze śmiechem, coś mu szybko opowiada. Bardzo trudno by odgadnąć, że ten śmiech maskuje ważne i pilne wiadomości.

Dziewczyna jest osobistą łączniczką Delegata Rządu — „Doktora Klonowskiego“, od którego przyniosła wezwanie na terminową konferencję na godzinę trzecią.

Ignacy wie z całą pewnością, że w torbie, wśród jakichś jarzyn, łączniczka niesie całą pocztę „wychodzącą“ Delegatury — teksty depesz, wysyłanych tego dnia z Kraju — i że jest o tej godzinie w drodze do lokalu szyfrów.

Sprawa popołudniowego spotkania musiała być bardzo pilna, skoro Doktór jej polecił odszukać Ignacego. Unikano bowiem starannie dawania dodatkowych zleceń łączniczce, niosącej nie zaszyfrowaną pocztę.

Całe towarzystwo przy stoliku rozmawia z ożywieniem, choć półgłosem. W lokalu są niemal sami swoi, lecz przy stoliku koło drzwi wejściowych siedzi nieoczekiwany gość — umundurowany Niemiec, który zajada kawał szmuglowanej kiełbasy.

Nagle drzwi otwierają się gwałtownie i wchodzi zadyszana współwłaścicielka lokaliku, uprzedzając głośno, że przed chwilą odcinek Brackiej od Placu Trzech Krzyży do Alei został

*) **W dziesięciolecie podstępnego aresztowania przez Moskwę 16 przywódców Polski Podziemnej Polacy na Zachodzie podjęli zbiorową akcję o zwolnienie uwięzionych.**

Zamieszczone tutaj notatki żony jednego z dotychczas więzionych, ministra Jasiukowicza, odsłaniają w sposób jak najbliższy fragmenty z pełnej niebezpieczeństw pracy władz Podziemia, ujawniając na zakończenie ciekawe szczegóły haniebnego wprowadzenia ich w zasadzkę.

szczelnie obsadzony przez Gestapo i że patrole obchodzą wszystkie sklepy i lokale na tym odcinku rewidując wszystkich.

Zastawiona pułapka, jedna z wielu pułapek, zatrzasnęła się. Sklepik ma tylko jedno wyjście — o ucieczce nie ma mowy!

Dwie najbardziej beznadziejnie narażone istoty — Ignacy i łączniczka, obładowane kompromitującymi papierami, patrzą na siebie, każde robi równie gorączkowy przegląd możliwości ukrycia posiadanych materiałów. Czy są jakieś możliwości? Czy są, na Boga?

Ratunek przychodzi z najmniej oczekiwanej strony. Siedzący przy drzwiach Niemiec, zorientowawszy się w sytuacji śpiesznie wychodzi. Dla niego nie było również wskazane pozostawanie w zabronionym dla Niemców lokalu, polskim.

Mimo pośpiechu natknął się za drzwiami na patrol, którego sylwetki zamigotały za szybą wystawową. Zatrzymał się więc tuż za progiem, robiąc jak najbardziej urzędową minę. Jego postawa i obecność w drzwiach sklepu zatrzymały patrolujących żandarmów. Uznali po tym Niemcu, że lokal jest widać „pewny", ominęli wejście do sklepu nie zaglądając nawet do wnętrza.

W sklepie zapanowała długa chwila zupełnej ciszy. Dla Ignacego, dla Justynki i innych stało się jasne, bardzo jasne, że oto jeszcze raz, tuż obok nich przesunął się cień śmierci.

A choć cień ten był nieodłącznym towarzyszem wszystkich ludzi Podziemia i już od dawna musieli się z nim oswoić, to przecież minęła długa chwila zanim głosy nabrały normalnego dźwięku, a na twarz łączniczki wrócił jej zawadiacki uśmiech.

Upływa jeszcze sporo czasu, zanim Gestapo likwiduje obławę. Bracka jest wolna i można wyruszać. Pierwsza wychodzi łączniczka, już i tak znacznie spóźniona na wyznaczone w lokalu szyfrów spotkanie. Na pewno już tam wszyscy są zaalarmowani — no, a przecież trzeba zdążyć z szyfrowaniem depesz i dostarczeniem ich do „ekspedycji".

W chwilę po niej opuszcza sklepik Ignacy. Ma akurat dosyć czasu, aby zdążyć na konferencję z Doktorem.

Lokal Delegata, w którym tym razem wyznaczone zostało spotkanie, mieści się w oficynie niewielkiego domu przy mało uczęszczanej bocznej uliczce. Niewielki pokój, kilka sprzętów... Stół, trzy różne krzesła, parę stołków. Nic poza tym. Jest bardzo zimno, trzeba siedzieć w płaszczach. Ręce grabieją, ale o tym zapomina się przy ożywionej pracy.

Uczestników konferencji jest czterech — Krajowa Rada Ministrów w komplecie. I znów tematem rozmowy są najnowsze depesze z Londynu, budzące coraz większe niepokoje. Delegat zaznajamia swych towarzyszy pracy z treścią swojej odpowiedzi. Jest w niej zdecydowany sprzeciw przeciwko jakimkolwiek cesjom terytorialnym i powtarzające się żądanie nadesłania dokładniejszych wiadomości wyjaśniających istotną sytuację międzynarodową.

I znów wśród zebranych nie ma żadnych rozbieżności. Tekst krajowej depeszy zostaje ostatecznie zredagowany, oczekująca łączniczka zabiera ją do zaszyfrowania.

Trzeba się rozejść i trzeba już myśleć o powrocie do miejsc swoich noclegów. Dzień się kończy, zbliża się godzina policyjna.

Tego dnia Ignacy wraca do Brwinowa. Jedzie kolejką dojazdową do Leśnej Podkowy, skąd ma około półtora kilometra do domu, w którym mieszka. Idzie ze stacji przez las i łąki i tu, w ciemnościach, czuje się najbezpieczniejszy.

Dom jest położony w głębi ogrodu, odosobniony.

Tego wieczora nie mogłam przyjechać do Brwinowa. Nie czeka więc na Ignacego ciepły pokój, ani gotowa kolacja. Musi sam napalić w piecu i przygotować sobie jedzenie.

Dopiero o 9-ej może zabrać się do swej zwykłej wieczornej pracy, do odczytania prasy i przyniesionej poczty, do opracowania rozporządzeń i do przygotowania całego materiału na rozmowy, przewidziane na dzień następny.

Jest cicho. Można pracować bez przeszkód.

Ignacy zwykle pracuje tak do godziny pierwszej, a nawet i drugiej w nocy.

A po zakończeniu tej pracy następuje stale nieuchronne wprost zsumowanie wydarzeń minionego dnia. Pamięć notuje sprawy już załatwione i takie, które pilnie wymagają załatwienia.

Zaś w ciszy nocnej bardziej niż za dnia nurtują myśli o tych wszystkich, którzy odeszli i o tych, którzy — aresztowani — zostali wyrwani z szeregów.

Tak minął dzień, niełatwy, szary i nijaki pozornie, a pełen ukrytych wstrząsów i szarpań. Dzień nieustannego przemykania się coraz zwężającymi się przesmykami wśród niebezpieczeństw czatujących na każdym niemal kroku.

Dzień człowieka Polski Podziemnej.

I rzecz może dziwna, może niezrozumiała dla tych, którzy w Polskim Podziemiu nie byli: tych dni nikt by się z tych ludzi nie wyrzekł.

Ludzie Podziemia dali z siebie wszystko, na co ich stać było. Oddali się podjętej walce bez reszty i bez myśli nawet o tym, co się z nimi stać może.

Właśnie w obliczu otaczającej ich zewsząd grozy i czającej się śmierci odnaleźli najwartościowszą część siebie samych i oddali ją sprawie.

Na pewno, w najmniejszym nawet stopniu, nie ich winą było, że ten ich wkład, został gdzieś, poza nimi, bez ich wiedzy, tak całkowicie zmarnowany.

EPILOG **Marzec 1945 r.**

Już od dwóch blisko miesięcy Niemcy opuścili Polskę, a władze Polski Podziemnej nadal urzędują w ukryciu. Wszelkie próby rozmów z Sowietami, czynione przez Rząd w Londynie, najwidoczniej nie dają żadnych rezultatów.

W Kraju brak informacji o podstawowych elementach polityki międzynarodowej. Nadchodzące wiadomości są stale niewystarczające. Bardzo trudno w tych warunkach zorientować się w sytuacji międzynarodowej.

Siedzimy w mroku... czekamy na dyrektywy z Londynu, które nie nadchodzą.

Przyszedł rozkaz rozwiązania Armii Krajowej i wprawdzie nie od razu i nie cała młodzież poddaje się temu rozkazowi, to jednak widać, że na tym odcinku idzie ku likwidacji.

Co mają robić władze cywilne?

Aresztowania wciąż wzrastają. Aresztują ludzi, związanych z Armią Krajową, z aparatem Delegatury. Aresztowany jest cały zarząd Stronnictwa Narodowego.

Przychodzi zaproszenie na rozmowy ze stron władz sowieckich. Reprezentantem marszałka Żukowa, który jest dowódcą frontu środkowego i który zaprasza przedstawicieli Polski Podziemnej na rozmowę, jest płk Pimienow.

Następują debaty i rozważania wśród naszych polityków. Co robić? Iść, czy nie iść? Zdania są podzielone, wreszcie przeważa opinia, aby iść. Za wiele mówiło się i pisało o władzach Polski Podziemnej, by teraz, gdy władze te są zapraszane na rozmowy, nikt się nie zjawił.

Wszyscy są po powstaniu zdekonspirowani, trzeba więc albo Kraj opuścić, albo wszcząć pertraktacje z władzami sowieckimi. Rząd brytyjski jeszcze w styczniu zażądał nazwisk przywódców Polski Podziemnej, jakoby w celu ochrony ich przed represjami.

Stronnictwo Ludowe zawiadamia Delegata Rządu, Jankowskiego, że idzie na rozmowy. Delegat przyjmuje to do wiadomości i decyduje, że sam pójdzie pierwszy. Na okres tych rozmów zaprasza na swego sekretarza Stemmlera.

W oznaczonym dniu udają się obaj do Pruszkowa. Wrócą, czy nie wrócą?

Wrócili wieczorem. Jankowski jest bardzo zadowolony z rozmów, poruszył bardzo wiele spraw wewnętrznych, m. in. sprawę aresztowań.

Kwestii zasadniczych nie chce poruszać, podkreśla konieczność porozumienia się z Rządem Polskim w Londynie przed powzięciem podstawowych decyzji. Ustala z płk. Pimienowem kolejność rozmów przedstawicieli stronnictw politycznych. Pimienow chciałby rozmawiać po kolei z wszystkimi.

W następnej kolejności idą ludowcy — Bagiński i Mierzwa. Jako trzecia delegacja idzie Stronnictwo Narodowe — Jasiukowicz z sekretarzem Jerzym. Potem Urbański i Chaciński ze Stronnictwa Pracy.

Socjaliści są na zjeździe w Zagłębiu. Jankowski czeka na powrót Pużaka.

Rozmowy trwają około 10 dni, wszyscy polscy uczestnicy ich domagają się porozumienia z Londynem. Uzyskują zgodę na otrzymanie samolotu do Londynu.

Odlot ma nastąpić w Wielką Sobotę. Podniecenie w Delegaturze jest duże. Ustala się skład delegacji. Członkowie szykują swój ekwipunek.

Pimienow żąda rozmowy z Okulickim celem ustalenia ostatecznej likwidacji oddziałów „leśnych". Okulicki wzbrania się, nie chce iść, wreszcie pod presją Jankowskiego decyduje się jednak na odbycie tej rozmowy.

Wrócił Pużak i w Wielki Wtorek, dnia 27 marca, wszyscy trzej — Jankowski, Okulicki i Pużak udają się na rozmowę do Pimienowa. Następnego dnia, w Wielką Środę, wszyscy przedstawiciele zaproszeni są na śniadanie, na które ma przybyć marsz. Żukow. Omawiana jest protokularna strona tego spotkania, w tym celu Pimienow odwiedza Stemmlera, by z nim ustalić szczegóły.

W Wielką Środę, ubrani przeważnie na czarno, w letnich płaszczach, bo był wyjątkowo ciepły dzień, udali się wszyscy do Pruszkowa.

Miał być wypuszczony Zwierzyński, według obietnic, danych Jankowskiemu. Do chwili wyjazdu nie ma go jednak, więc wszyscy spodziewają się, że będzie w Pruszkowie.

Odwożę naszych panów do Pruszkowa. Na stacji spotyka nas łącznik — sekretarz szefa kancelarii Delegatury z zawiadomieniem, że Jankowski, Okulicki i Pużak nie powrócili dotychczas.

Konsternacja — narada...

Na małej stacji dwunastów panów, ubranych na ciemno i rozmawiających z ożywieniem zwraca powszechną uwagę. Od początku okupacji nie widziało się takich obrazków.

Wreszcie zapada decyzja, że jeden z nich pójdzie naprzód, by zorientować się w sytuacji.

Wysuwa się Pajdak i idzie w stronę willi, położonej o jakieś 300 metrów od stacji — wszyscy pozostali posuwają się powoli za nim.

W pewnej chwili Pajdak, który jest już około willi odwraca się i daje towarzyszom wesołe znaki, aby szli dalej.

Wszyscy wchodzą do willi...

Gdy nie wrócili tego wieczoru, sądziliśmy, że konferencja się przeciągnęła.

Gdy nie wrócili następnych dni — doszły nas wieści, że pojechali do Moskwy — na konferencję. Może stamtąd odlecą do Londynu?

Czekaliśmy tygodnie i tygodnie — dowiedzieliśmy się prawdy w okresie San Francisco...

Potem był proces w Moskwie...

Potem, w ciągu paru pierwszych lat, było parę listów z Łubianki...

A potem zapadła cisza, cisza zupełna.

I ta cisza trwa do dziś.

M. Jasiukowiczowa

IGNACY WIENIEWSKI

POLSKO-BRYTYJSKA WSPÓŁPRACA OŚWIATOWA

W dniu 30 września 1954 r. zakończył swą 7½-letnią działalność Komitet dla Spraw Oświaty Polaków w W. Brytanii, zwany popularnie Komitetem Oświaty.

Nie zamierzając w tym artykule dawać przeglądu i oceny dorobku Komitetu, sądzę jednak, że warto może zwrócić uwagę, iż był to jedyny w swoim rodzaju eksperyment, w którym polska i brytyjska myśl pedagogiczna połączyły się we wspólnym wysiłku. Współpraca ta, niezależnie od jej wyników, dała pole do ciekawych spostrzeżeń. Stosunek bowiem Polaków i Anglików do zagadnień wychowawczych nie zawsze się ze sobą pokrywa. Różnice są tu niekiedy dosyć znaczne. Wyniesione z działalności Komitetu Oświaty doświadczenia są tedy interesujące — i to nie tylko z punktu widzenia pedagogiki, ale także dla oświetlenia odmienności psychiki polskiej i brytyjskiej w szerszym ujęciu.

Działalność Komitetu obejmowała właściwie wszystkie dziedziny oświaty: przedszkola, szkoły powszechne, średnie ogólnokształcące i zawodowe oraz (w pewnym sensie) akademickiej, dalej oświatę dla dorosłych wraz z ruchomymi bibliotekami dla skupień polskich rozsianych w W. Brytanii. Jeżeli chodzi choćby tylko o samą sieć szkolną, to rozrosła się ona niepomiernie za czasów Komitetu w porównaniu z okresami jego poprzedników, tj. polskiego Ministerstwa Oświecenia w Londynie w czasie wojny i Działu Oświaty Tymczasowego Komitetu Skarbowego (ITC).

Gdy Komitet Oświaty powstał 1 kwietnia 1947 r., Polacy — mimo że była to instytucja brytyjska, urzędująca pod auspicjami Ministry of Education i Scottish Office (Secretary of State for Scotland) — oczekiwali, że otoczy on opieką istniejące placówki oświatowe. Nie tylko bowiem w gronie członków Komitetu zasiadło trzech Polaków, ale w jego Urzędzie Centralnym, kierowanym przez angielskiego Sekretarza Komitetu (i przydzielonego mu później angielskiego zastępcę), pracowali urzędnicy wyłącznie polscy (liczba ich w okresie największego nasilenia prac Urzędu dochodziła do 125) pod kierownictwem Polskiego Dyrektora.

Z drugiej strony mimo przyznania Polakom tak znacznej roli w działalności Komitetu, wytyczne tej działalności zostały wyraźnie określone przez brytyjskie czynniki rządowe. Wytyczne te sprowadzały się do dwu zasad: 1) System wychowania i kształcenia musi być taki, by dzieci i młodzież przygotować do życia i zarobkowania w świecie anglo-saskim przez „upodobnienie" ich („assimilation") do otaczającego społeczeństwa miejscowego (przy czym jednak wyraz „assimilation" nie musi oznaczać „asymilacji", która implikuje wyrzeczenie się poczucia i indywidualności narodowej), oraz przygotować te dzieci i tę młodzież pod względem językowym i innym do możliwie najrychlejszego przejścia do szkół brytyjskich, a w szczególności do uniwersytetów, jeżeli chodzi o młodzież, która do studiów wyższych się nadaje. 2) W szkołach Komitetowych należy pielęgnować polską kulturę i tradycje narodowe przez uwzględnienie w programach nauczania przedmiotów polskich tj.: języka i literatury polskiej, historii i geografii Polski oraz oczywiście nauki religii rzym.-kat. w języku polskim.

Wydawało się, że harmonijne połączenie tych dwu zasad jest łatwe i proste. W praktyce nie zawsze tak było. Urząd Centralny Komitetu starał się prowadzić lojalnie swą działalność w myśl przytoczonych wytycznych, ale pogodzenie tendencji brytyjskich z dążnościami polskimi nastręczało niekiedy poważne trudności.

Zasadniczą tendencją czynników brytyjskich było jak najrychlejsze wchłonięcie elementu polskiego przez szkoły brytyjskie i zlikwidowanie w ten sposób polskiej sieci oświatowej. Motywy tych dążeń były nie tylko natury finasowej, ale przede wszystkim chodziło o przyśpieszenie procesu owej „asymilacji" (w cudzysłowie) młodego pokolenia polskiego. Rosnąca liczebność roczników powojennych i brak miejsca w szkołach brytyjskich były tu czynnikami hamującymi i sprzyjały polskiej tendencji utrzymania dotychczasowego stanu posiadania i rozwinięcia naszej sieci szkolnej.

Zgodnie z drugą z dwu przytoczonych zasad Polacy dążyli do nadania czynnikowi polskiemu w wychowaniu szkolnym i programach nauczania możliwie jak największej wagi i rozmiarów. Natomiast Brytyjczycy dbali o to, by pozycja przedmiotów polskich w programach nie przeszkadzała w realizacji przedmiotów angielskich lub wykładanych po angielsku. Polacy chcieli szkół polskich o polskim charakterze i polskiej atmosferze, Brytyjczycy chcieli szkół angielskich dla Polaków o programach, obejmujących również przedmioty polskie. Granica między tymi dwoma postulowanymi typami szkoły była niewątpliwie płynna i znalezienie kompromisu wymagało wiele wysiłku i dobrej woli obu stron. Ale od czasu do czasu odzywały się utyskiwania niektórych inspektorów angielskich na „Polishness" szkół Komitetowych, która ich zdaniem wytwarzała polskie getta i przeszkadzała przygotowaniu polskiej młodzieży do życia w środowisku anglosaskim.

Ujmując zagadnienie szkolnictwa polskiego w W. Brytanii na jeszcze szerszym i ogólniejszym planie, nie trudno było zaobserwować różnice, nieraz dosyć głębokie, między stanowiskiem angielskim a polskim w omawianej dziedzinie. Stosunek Brytyjczyków do spraw oświaty i wychowania wynika z głębokich złoży psychiki anglosaskiej i odbiega od stanowiska nie tylko Polaków, ale w ogóle Europejczyków kontynentalnych. Wśród brytyjskich ideałów wychowawczych dominuje cel uczynienia z dziecka — człowieka możliwie najszczęśliwszego, podczas gdy na kontynencie, a w szczególności u Polaków, przeważają ideały moralne i obywatelskie, ideały ofiarności i poświęcenia dla ogółu (społeczności, ojczyzny, ludzkości) nawet kosztem własnego szczęścia. Nie trzeba oczywiście w tym przeciwstawieniu iść za daleko.

Bodaj większe jeszcze rozbieżności uwidaczniają się w stosunku do wykształcenia. Polacy wraz z innymi narodami kontynentalnymi wymagają od szkoły zapewnienia młodzieży pewnego dosyć wszechstronnego wykształcenia ogólnego — o stopniu i rozmiarach zależnych od szczebla i typu szkoły. Sama ilość wiedzy odgrywa tu ważną rolę. Brytyjczycy natomiast (nie mówiąc już o Amerykanach) odnoszą się dosyć chłodno do ideału wykształcenia ogólnego. Specjalizację rozpoczynają na dość wczesnym szczeblu nauczania, a ważniejszą dla nich od ilości wiedzy jest jej jakość, tj. możliwie gruntowne zgłębienie pewnych bardziej ograniczonych elementów nauki oraz wdrożenie uczniów do poprawnego myślenia i poprawnej metody badania. Stąd pochodzi owo zgorszenie inteligentów kontynentalnych z powodu dotkliwych braków w wiadomościach wykształconego Brytyjczyka np. w dziedzinie historii powszechnej czy nawet geografii. Anglik się tym nie przejmuje, natomiast przeciążenie ucznia szkoły średniej wiadomościami z dziedziny t.zw. „academic education" stanowi ciężki grzech w oczach brytyjskiego pedagoga.

Jak widzimy, trudności polskich organizatorów szkolnictwa w stosunku do czynników brytyjskich były nie tylko natury, że tak powiem, „narodowej", ale również wynikały z rozbieżności między stanowiskiem pedagogicznym kontynentalnym a anglo-saskim. W miarę jak programy polskie w szkołach Komitetu ustępowały miejsca programom brytyjskim, trudności te zmniejszały się, ale nigdy nie znikły zupełnie.

Należy jednak z całym naciskiem stwierdzić, że mimo wspomnianych rozbieżności stosunek decydujących czynników brytyjskich do postulatów polskich i do sprawy oświaty polskiej w ogóle był jak najbardziej lojalny i życzliwy. Miarą tej życzliwości była sprawa utrzymania Ośrodka Nauczania Korespondencyjnego. Instytucja ta, mająca na celu zapewnienie znajomości kultury polskiej młodzieży, uczęszczającej do szkół angielskich, nie miała właściwie nic wspólnego z brytyjskimi celami Komitetu Oświaty. Nie tylko bowiem nie przyczyniała się do przystosowania młodocianych Polaków do życia w społeczeństwie brytyjskim, ale — przeciwnie — umacniała więzy, łączące ich z polskością. Mimo to Komitet zgodził się w r. 1947 na przejęcie i dalsze prowadzenie Ośrodka łącznie z jego finansowaniem.

Skoro mowa o trudnościach, zaznaczmy, że napotykał je Komitet nie tylko ze strony brytyjskiej, ale i polskiej. Przez stronę polską rozumiemy tu społeczeństwo emigracyjne i jego opinię publiczną, wyrażającą się zarówno w środowiskach naszych w hostelach i w miastach, jak nawet i w prasie polskiej.

Istota zagadnienia polegała na tym, że szkoły w chwili przejmowania ich przez Komitet były czysto polskie. Polski był ich język wykładowy, polski (przedwojenny) — program nauki, polskie — egzaminy końcowe, a przede wszystkim egzaminy dojrzałości. Obecnie trzeba było przystąpić do stopniowej — drogą ostrożnej ewolucji — reformy tego systemu. Nie tylko postulaty brytyjskie, zgodne z przytoczonymi założeniami polityki oświatowej Komitetu, ale i dobrze zrozumiany interes samej młodzieży wymagał takiej reformy, skoro młodzież ta miała kiedyś studiować w brytyjskich uniwersytetach, a nawet — według dążeń angielskich — wcześniej jeszcze przechodzić do szkół brytyjskich, gdy tylko nabędzie dostatecznej znajomości języka angielskiego. Utrzymanie więc języka polskiego jako wykładowego dla wszystkich przedmiotów oraz dalsze stosowanie programów polskich, jakże bardzo różnych od brytyjskich, uniemożliwiałoby naszej młodzieży zdawanie egzaminów na wyższe uczelnie i postawiłoby ją w sytuacji, mogącej zaciążyć fatalnie na całej jej przyszłości w tym kraju. A położenie polityczne wskazywało, że należy się liczyć z pobytem na emigracji przez nieprzewidzianie długą ilość lat.

Trzeba więc było intensywnić do maksimum naukę języka angielskiego (co było dużym zagadnieniem nie tylko dla uczniów, ale i dla nauczycieli), potem wprowadzić ten język stopniowo jako wykładowy poza religią i przedmiotami polskimi, wreszcie zmienić programy nauczania tak, by umożliwiały one złożenie egzaminów końcowych według systemu brytyjskiego.

Mimo że przy tym wszystkim zachowano w rzetelnej mierze i w stopniu, uważanym przez Brytyjczyków za zbyt wysoki, polskość wychowania, wykształcenia i atmosfery panującej w szkołach (gdzie wszyscy nauczyciele — poza niektórymi nauczycielami języka angielskiego — byli Polakami), rozległy się głosy, że szkoły polskie „anglizują" polskie dzieci i młodzież. Głosy te były szczególnie silne w hostelach, gdzie skupienia ludności polskiej, przeważnie ze sfer nieinteligenckich, niechętnie, a czasem wrogo patrzyły na rosnącą rolę języka angielskiego w szkołach powszechnych, jakie funkcjonowały w tych hostelach. Mniej często i mniej dosadnie, ale nieraz również wyraźnie — na zebraniach publicznych a czasem nawet w prasie — protestowała inteligencja. Należy jednak zaznaczyć, że z czasem stosunek społeczeństwa emigracyjnego a zwłaszcza inteligencji, do tej sprawy bardzo złagodniał. Ostatecznie doszło nawet do pewnego zobojętnienia wobec szkół polskich, co więcej — do niechęci do posyłania do nich dzieci. Odzywały się bowiem z kolei głosy, że szkoły te za mało uczą języka angielskiego W pierwszych jednak latach działalności Komitetu niesłuszny zarzut „wynaradawiania" młodzieży polskiej, wysuwany pod adresem szkół i Komitetu, nie przyczyniał się do ułatwienia tej skomplikowanej pracy.

Najwymowniejszym dowodem, że polskość szkół Komitetu nie była frazesem, jest fakt następujący. Szkoły średnie ogólnokształcące przygotowywały młodzież do matur angielskich, by umożliwić jej wstępowanie na uniwersytety. (Mówiąc nawiasowo, wyniki tych egzaminów dojrzałości były u polskich chłopców i dziewcząt na ogół lepsze, a często znacznie lepsze, niż u abiturientów angielskich — z wyjątkiem oczywiście stopni z języka angielskiego). Za zgodą czynników brytyjskich młodzież polska mogła ochotniczo uzupełniać swoją maturę angielską egzaminem z przedmiotów polskich, zdawanych przed komisją polską, i uzyskiwać w ten sposób polski egzamin dojrzałości. Otóż mimo, że dodatkowa ta praca była całkowicie dobrowolna i że nauczyciele nie wywierali tu na młodzież żadnego nacisku, nie zdarzył się przez wszystkie lata istnienia Komitetu ani jeden wypadek uchylenia się ucznia czy uczennicy od tego egzaminu, którego złożenie uważali sobie za zaszczyt. A pracy, związanej z przygotowaniem się do matury angielskiej, zdawanej w obcym dla nich języku, mieli niemało.

Historia wysiłków oświatowych emigracji polskiej (od r. 1939) i bilans jej dorobku pozostają jeszcze do opracowania. Wydaje się, że ta dziedzina należy do mniej wstydliwych zakątków działalności emigracyjnej. Tych kilka uwag niech będzie przyczynkiem do pewnego znamiennego rozdziału owej książki, którą oby ktoś napisał.

Ignacy Wieniewski

ZE ŚWIATA KATOLICKIEGO

„Dzień Uniwersytecki" we Włoszech. Każdego roku, podobnie jak w Polsce na Katolicki Uniwersytet Lubelski, urządza się we Włoszech corocznie dzień zbiórki na Katolicki Uniwersytet Najśw. Serca w Mediolanie. Ukazało się niedawno szczegółowe zestawienie zbiórki za rok 1954, wykazujące, ile złożyły poszczególne diecezje i parafie, ile organizacje Akcji Katolickiej, seminaria mniejsze i większe i inne instytucje. Wynik tego XXXII Dnia Uniwersyteckiego przewyższył sumę zebraną w roku 1953 o przeszło 10 milionów lirów, mniej więcej 5.500 funtów. Zbiórka w r. 1954 osiągnęła sumę 170.968.930 lirów to znaczy mniej więcej £ 95.000. Nie można nie podkreślić ofiar złożonych przez sanatoria, domy ozdrowieńcze i klasztory klauzurowe, które jak wiadomo walczą nieraz z wielkimi trudnościami materialnymi; ich grosz jest tym bardziej wartościowy, ponieważ łączą się z nim cierpienia, umartwienia i ofiary znane jedynie Bogu.

150 kościołów dla uchodźców z północnego Vietnamu. Liczba uchodźców z północnego Vietnamu, oddanego przez układy w Genewie komunistom, przekroczyła 700 tysięcy. Komitet osiedlenia (Comité de Réimplantation) powstały w Saigonie (1, rue Frères Guillerault) ma stworzyć 150 nowych osad wraz ze 150 kościołami parafialnymi. Prezesem komitetu jest biskup Vietnamczyk Piotr Maria Pham-ngoc-Chi.

Zakonnice eskimoskie na Alasce. Po dostosowaniu zakonnego życia do temperamentu i sposobu życia Eskimosów powstało w Nome na Alasce zgromadzenie zakonne Eskimosek pod nazwą oblatek Matki Boskiej Śnieżnej. Pierwsze trzy zakonnice przyjął uroczyście wikariusz apostolski Alaski, biskup Franciszek Gleeson, w obecności Eskimosów przybyłych nawet z odległych stron. Na Alasce i wyspach Aleuckich żyje 18.000 Eskimosów.

Irlandia krajem misjonarzy. Irlandia, która liczy 3 miliony mieszkańców, ma w krajach misyjnych 4.870 misjonarzy: 2.162 księży, 479 braci i 2.229 zakonnic.

Zakonnice lekarki. Siostry Misji Lekarskiej w Filadelfii (w Stanach Zjednoczonych) ogłosiły sprawozdanie swych prac za rok 1954. Pod opieką ich pozostawało 405.288 chorych. Siostry mające dyplom lekarski w zakresie chirurgii przeprowadziły 10.383 zabiegów chirurgicznych, w tym 2.500 poważnych. W ich domach w Indonezji, Afryce, Indiach, Pakistanie i Stanach Zjednoczonych kształciło się 275 sanitariuszek, położnych, asystentek farmaceutycznych i laboratoryjnych.

Pismo Święte dla ociemniałych. Stowarzyszenie św. Franciszka Ksawerego dla ociemniałych w Nowym Jorku ogłasza, że w najbliższym czasie ukaże się Nowy Testament w „braille". Koszty poniesione przez stowarzyszenie wyniosą około 10.000 dolarów; jeden egzemplarz będzie sprzedawany za 12 dolarów czyli za około jedną trzecią kosztów wydawniczych.

O objawieniach Madonny. W Turynie, w firmie Borla wyszła książeczka o 160 stronach: G. Barra „Quando la Madonna appare". Autor przedstawia najpierw znaczenie i granice wizyj i objawień w ogólności, a następnie omawia objawienia Matki Boskiej w La Salette, Lourdes, Fatimie, Banneux i Beauraing, wykazując, że zawsze objawienia stawały się znakiem, któremu się sprzeciwiano (por. Łuk. 2, 34).

Akcja Katolicka wśród Indian kanadyjskich. Episkopat kanadyjski zaaprobował Ligę Katolicką Indian Kanadyjskich, założoną w czerwcu 1954 roku z okazji pierwszej narodowej pielgrzymki Indian do sanktuarium Notre-Dame-du-Cap. Liga jest już czynna w 15 ośrodkach. Według urzędowej statystyki, w Kanadzie mieszka 151.942 Indian na ogólną ilość 15.439.000 mieszkańców. Przeszło połowa Indian jest katolicka. W Stanach Zjednoczonych mieszka 345.000 Indian, w tym 111.321 katolików.

Stacje Wielkopostne. W Rzymie w ciągu Wielkiego Postu odbywały się, jak co roku, nabożeństwa tzw. stacyjne, polegające na tym, że codziennie w innym kościele gromadzi się duchowieństwo i wierni rano na Mszę św., po południu na Kompletę i procesję ze śpiewem Litanii do Wszystkich Świętych. W roku obecnym kardynał Ruffini, arcybiskup Palermo, zarządził, by na wzór Rzymu i w jego diecezji każdego dnia był wybierany kościół, w którym odbywałyby się nabożeństwa właściwe kościołom stacyjnym. Rano w wyznaczonym kościele była odprawiana Msza św., a po południu po Komplecie następowała procesja w sąsiedztwie kościoła wśród odmawiania Litanii do Wszystkich Świętych, Psalmu Miserere i odpowiednich modlitw. Wierni przyjęli z radością wprowadzenie pobożnych praktyk wielkopostnych i brali w nich liczny udział.

ŻYCIE KRAJU

DODATEK MIESIĘCZNY „ŻYCIA"

KWIECIEN 1955

GLOSSATOR

LEWIATAN

Cechą charakterystyczną ustrojów typu sowieckiego jest ogromny rozrost administracji państwowej. Rozrost ten postępuje w miarę ogarniania przez państwo coraz nowych dziedzin życia społeczno-gospodarczego, osiąga zaś swe apogeum, gdy inicjatywa i przedsiębiorczość prywatna zanikają całkowicie, a państwo staje się wyłącznym pracodawcą. Jest to nie osiągnięte jeszcze przez polską demokrację ludową stadium „zwycięskiego socjalizmu". Miejsce przedsiębiorcy, sklepikarza, adwokata, kelnera zajmuje wówczas funkcjonariusz opłacany przez państwo i nadzorowany przez armię innych funkcjonariuszy. Administracja państwowa nie wyczerpuje jednak zagadnienia: obok niej istnieje rozległy aparat administracyjny partii, związków zawodowych, spółdzielni, stowarzyszeń będących „transmisją" partii, złożony również z ludzi nie biorących udziału w tworzeniu dochodu społecznego, lecz zajętych pracą gospodarczo nieprodukcyjną. Jest w tym paradoks ustroju, kładącego tak wielki nacisk na produkcję materialną: liczba ludzi zatrudnionych nieprodukcyjnie w stosunku do ich liczby wytwarzającej dobra materialne jest w tym ustroju znacznie wyższa niż w państwach kapitalistycznych.

PRZEROSTY

Temu rozrostowi aparatu administracyjnego, nieuniknionemu w gospodarce socjalistycznej, towarzyszą inne zjawiska, pogarszające jeszcze stosunek między administracją a produkcją. Pierwszym z nich są przerosty. Skomplikowany aparat wymyka się spod kontroli i rozrasta ponad miarę faktycznych potrzeb, a ten przerost czyni go ociężałym i nieruchliwym. Im więcej urzędów, tym trudniej ustalić, co do którego należy i tym częstsze są między nimi tzw. spory kompetencyjne lub równoległe wykonywanie tych samych czynności. Im więcej szczebli hierarchicznych między referentem a kierownikiem działu, tym dłużej trwa załatwianie każdej sprawy. Powolny bieg spraw wywołuje wrażenie, że jest za mało ludzi do ich załatwiania, przyjmuje się więc więcej ludzi i wady aparatu występują ze zdwojoną siłą.

Zjawiskiem drugim jest biurokratyzacja. Urzędnik musi uzasadnić swe istnienie wobec przełożonego i, przy pewnej wprawie, czyni to bardzo skutecznie, rozsyłając okólniki i formularze, żądając sprawozdań i statystyk. Każdy okólnik wysłany z centrali rodzi powódź sprawozdań w urzędach lokalnych; do central wpływa lawina biurokratycznej bibuły, przechodząc tam różne koleje przed pomnożeniem stosów makulatury. Do sporządzania sprawozdań i wypełniania formularzy potrzeba znów ludzi. Aparat administracyjny, raz skierowany na drogę ekspansji, wykazuje pod tym względem niepowstrzymaną dynamikę.

Zjawiskiem innego rodzaju, powodującym te same skutki, a właściwym dla ustrojów typu sowieckiego, jest niekompetencja kierownictwa. Im mniej kompetentny kierownik, tym więcej ludzi musi mu pomagać. Każdy zresztą nowy kierownik ma swoich protegowanych, których stara się ulokować. Z drugiej strony, ludzie o wysokich kwalifikacjach, lecz obciążeni burżuazyjną przeszłością, wegetują na stanowiskach podrzędnych lub wcale nie znajdują pracy.

PRZED WOJNĄ I OBECNIE

Wszystko to sprawia, że administracja socjalistyczna nie tylko działa wolno i wadliwie, lecz jest też bardzo kosztowna. W Polsce przedwojennej było 11 ministerstw, obecnie jest ich ponad 30, przy czym każdemu z ministerstw gospodarczych podlega co najmniej kilka zarządów centralnych, tzw. „branżowych". Specjalizacja w tej dziedzinie jest daleko posunięta, istnieje np. Centralny Zarząd Włókien Łykowych, Centralny Zarząd Kamienia Budowlanego itp. Ministerstwa mają swe odpowiedniki we władzach lokalnych (prezydiach rad narodow.). Każde z ministerstw ma, oprócz ministra, nieraz po kilku wiceministrów i odpowiednią liczbę referentów, naczelników, inspektorów, dyrektorów i dyrektorów generalnych. Przed wojną urząd wicepremiera pełnił zwykle jeden z ministrów, obecnie istnieją, na wzór sowiecki, osobne urzędy wicepremierów. Ministerstwa są prawdzie mniejsze od przedwojennych, lecz ilość stanowisk kierowniczych w nich wzrosła.

Ten niepomiernie rozrosły aparat administracyjny kładzie się dotkliwym ciężarem na barki społeczeństwa. Biurokracja kwitnie i rozwija się kosztem poziomu życia ludności. Nie znaczy to, aby była ona dobrze uposażona, uposażenia, z wyjątkiem stanowisk kierowniczych, są na ogół niskie, lecz na jej utrzymanie składa się, oprócz uposażenia, wiele innych kosztów. Ile gmachów mieszkalnych zajmują nowokreowane urzędy socjalistyczne i ile pożerają papieru?

OŚMIORNICA

Zarówno Związek Sowiecki jak i kraje satelickie podejmowały niejednokrotnie próby uproszczenia swej administracji i usunięcia z niej zbędnego personelu, lecz próby te, o ile można sądzić, nie dały widocznych wyników. Biurokracja jest jednym z filarów systemu, umie ona się bronić i, jak ośmiornica, ma zdolność regeneracji odcinanych członów. Na miejsce funkcjonariuszy kierowanych do pracy w przemyśle lub do uprawy dziewiczych ziem syberyjskich przychodzą wkrótce inni.

W Polsce, za przykładem sowieckim, wzmogło się ostatnio zainteresowanie sprawą przerostów administracyjnych; dała temu wyraz „Trybuna Ludu" w jednym z artykułów wstępnych oraz „Nowe Drogi" (nr 2) w krytycznym artykule E. Drożniaka pt. „O usprawnienie i potanienie aparatu państwowego". Drożniak zaczyna od stwierdzenia, że ludowy aparat administracyjny „posiada nadal wiele wad zarówno w strukturze organizacyjnej jak i w metodach działalności... jest on na wielu odcinkach nadmiernie rozbudowany". W ministerstwach i zarządach centralnych istnieje tendencja do „mnożenia i rozdrabniania komórek organizacyjnych", każda zaś komórka wymaga osobnych etatów. W niektórych zarządach centralnych działy składają się z 2-3 osób, ale każdy ma swego kierownika, w wojewódzkich zaś zarządach budowlanych na 5-osobowy dział przypada 4 kierowników. Niekiedy jedna osoba zajmuje kilka stanowisk kierowniczych. Są zarządy centralne, którym podlega tylko 4-8 przedsiębiorstw o niewielkim zatrudnieniu, niektóre ministerstwa gospodarcze mają po dwie lub więcej central zbytu, innym, jak Ministerstwu Przemysłu Rolnego i Spożywczego, podlegają prócz centralnych zarządów jeszcze zjednoczenia przemysłowe.

Wadliwa organizacja pociąga za sobą wykonywanie przez różne departamenty i zarządy tych samych prac, np. szkoleniem zawodowym kieruje aż ponad 40 urzędów, poszukiwania geologiczne prowadzi 9 urzędów, nieraz na tym samym terenie, zjawiskiem często spotykanym jest podwójna inspekcja księgowości i finansów przedsiębiorstw i instytucji. W biurach i magazynach zakładów przemysłowych, w budownictwie, handlu, transporcie, łączności i wszelkiego rodzaju spółdzielniach jest nadmiar pracowników administracyjnych. Według „Trybuny Ludu", liczba pracowników administracyjnych w dyrekcjach terenowych MHD wzrosła w ciągu dwóch lat ostatnich o 38 %, liczba zaś sprzedawców w sklepach tylko o 15 %. W niektórych dyrekcjach MHD pracowników administracyjnych jest więcej niż sklepów zarządzanych przez te dyrekcje. Na stanowiska kierownicze bądź przeznaczone dla specjalistów przyjmuje się ludzi „bez dostatecznego przygotowania, bez dostatecznych kwalifikacji", często tylko po to, aby „etat się nie marnował".

Zjawiskiem powszechnym jest nadmierny centralizm. W drobnych nawet sprawach obowiązuje system „łańcuszkowych aprobat" od referenta przez szereg szczebli aż do ministra. Drożniak widzi w tym „brak samodzielności" i „tendencje do asekuranctwa", lecz wynikają one z istoty systemu. Minister Przemysłu Materiałów Budowlanych decyduje osobiście o przyjmowaniu i zwalnianiu każdego z 3.000 pracowników w podległych mu zakładach. Przedsiębiorstwa podległe Centralnemu Zarządowi Kamienia Budowlanego mogą nabywać druki personalne tylko za zezwoleniem tego Zarządu. Ministerstwo Kultury i Sztuki zarządza centralnie 118 muzeami, z których każde do lipca 1954 roku musiało się zwracać do Centralnego Zarządu Muzeów i Ochrony Zabytków o zgodę na wynajęcie sprzątaczki.

ILE LAMPEK WINA?

Nie lepiej wygląda sprawa planowania i sprawozdawczości. Planowanie jest skomplikowane i „pracochłonne", zawiera nadmiar szczegółów i wskaźników; to samo dotyczy sprawozdań. Powiatowe zarządy rolnictwa sporządzają 250 różnych sprawozdań, spółdzielnie pracy 120 do 160, spółdzielnie spożywców 111. Każde z tych sprawozdań wymaga benedyktyńskiej pracy: w r. 1953 kwartalne sprawozdanie finansowe spółdzielni spożywców zawierało 764 sumy i wskaźniki, w r. 1954 — 2.518. W r. 1952 bary i restauracje obowiązane były składać sprawozdania ze sprzedaży wina na lampki i to według gatunków. Dane statystyczne, oprócz Głównego Urzędu Statystycznego, zbierają na własną rękę ministerstwa, przy czym wyniki nie są zgodne. Sprawozdania wewnętrzne Ministerstwa Zdrowia, opracowane według 123 wzorów, zawierają 26 milionów zapisów na przeszło 550 tysiącach formularzy. Znaczna część tych wszystkich sprawozdań wędruje bez analizy od instancji do instancji, aż wreszcie idzie do archiwum.

Poziom organizacji i techniki pracy w urzędach — oświadcza Drożniak — jest niski. Istnieje niechęć do stosowania urządzeń ułatwiających pracę biurową, jak maszyny rachunkowe, a w urzędach na prowincji nawet jak liczydła i maszyny do pisania. Organizacja biurowości jest przestarzała, stenografia w zaniku, personel kancelaryjny niewyszkolony.

BEZRADNOŚĆ

Co jest przyczyną tego zainteresowania czynników partyjnych przerostami administracji? Oto — wyjaśnia Drożniak — w latach 1955-1960 „wkraczają do pracy zawodowej mniej liczne roczniki młodzieży urodzonej w latach wojny". Grozi brak rąk roboczych, zapowiadany już przez Bieruta na III plenum KC; stąd nalegania na przesunięcie jak największej liczby ludzi „ze sfery administracyjnej do sfery produkcji". Rolę cerbera chroniącego administrację przed przerostami spełniały dotychczas Państwowa Komisja Etatów i Ministerstwo Finansów, obdarzone szerokimi uprawnieniami w tej dziedzinie, lecz mimo to działające bez powodzenia. Z ich inicjatywy zwalnia się mechanicznie od czasu do czasu pewne ilości urzędników, lecz mało kto ze zwolnionych przechodzi do produkcji: większość znajduje pracę w innych działach administracji.

Drożniak widzi przyczynę nikłych rezultatów działalności urzędów kontrolnych w „odgórnym" charakterze kontroli. „Żadna, najlepiej nawet funkcjonująca Państwowa Komisja Etatów nie jest w stanie przeprowadzić gruntownej i wszechstronnej analizy działalności i struktury tak wielu i tak różnorodnych zakładów pracy". Mogą to uczynić tylko same zakłady, zajmujące dotychczas postawę obronną wobec Komisji; do nich więc, do działających w nich organizacji partyjnych odwołują się „Nowe Drogi" i „Trybuna Ludu". Sojusznikiem Komisji Etatów w walce z przerostami powinien być aktyw pracowniczy zakładów pracy; jego obowiązkiem jest przeprowadzenie gruntownej analizy wad aparatu administracyjnego i wyciągnięcie z tego konsekwencji.

PRAWO SOCJALIZMU

Brzmi to nieprzekonywująco. Biurokracja wszystkich krajów ma swój esprit de corps, solidarność wewnętrzną, nakazującą jej bronić swego stanu posiadania przed zakusami kontrolującej hierarchii; tym mniej można od niej oczekiwać zbiorowych aktów samobójstwa. Heroizm taki byłby zresztą w systemie sowieckim bezużyteczny: system ten rodzi biurokrację w sposób żywiołowy. Mniejszość rządząca, dążąc do uzależnienia od siebie wszystkich warstw społecznych, mnoży ministerstwa, zarządy i urzędy centralne, owija, jak mackami polipa, siecią urzędów „terenowych" całe państwo. Mechanizm biurokratyczny coraz bardziej się komplikuje, nabiera cech ezoterycznych, staje się dostępny tylko dla nielicznego grona wtajemniczonych. Pozwala to mu skutecznie odpierać ciosy, wymierzone weń niewdzięczną ręką chlebodawcy.

Doktryna komunistyczna pretenduje do znajomości praw rządzących życiem społeczeństw, nie zdobyła się jednak na analizę zjawiska, które o wiele więcej niż inne zasługuje na nazwę „podstawowego prawa socjalizmu": jest nim prawo postępującego wzrostu biurokracji. Biurokratyczny pasożyt rozwija się bujnie na żyznym gruncie komunistycznej utopii, aż wreszcie, z biegiem lat, urasta do rozmiarów legendarnego Lewiatana, potwora Chaosu.

Glossator

SPRAWY KULTURALNE

ROK MICKIEWICZOWSKI

21 lutego odbyło się w Warszawie uroczyste posiedzenie Komitetu Obchodu Roku Mickiewiczowskiego, na którym przemówienie inauguracyjne wygłosił przewodniczący Komitetu, A. Zawadzki. „Zadaniem epoki, którą przeżywamy" — mówił on — „...jest fakt zwycięstwa na ogromnych przestrzeniach Europy i Azji tych sił, które potężnie dawały o sobie znać już w 1830 r. i w okresie Wiosny Ludów... sił, do których Adam Mickiewicz apelował i w zwycięstwie których wyczuwał przyszłość ludzkości... Pamięć o Adamie Mickiewiczu... uczy nas, że budowanie zrębów socjalizmu w wolnej Polsce jest również współczesną realizacją wielkich idei humanizmu, patriotyzmu i rewolucyjności epoki, w której żył on i działał, epoki, która dała światu Marksa i Engelsa, w której pojawił się nieśmiertelny Manifest Komunistyczny..."

W „Międzynarodówce" i „Odzie do młodości" znalazły się te same słowa o dźwiganej z posad bryle świata — dodaje „Trybuna Ludu". Jednym słowem, pierwszy polski komunista.

Komitet wybrał Egzekutywę Roku Mickiewiczowskiego, do której weszli: W. Sokorski, minister kultury i sztuki, prof. S. Żółkiewski i K. Wyka, M. Jastrun, Z. Dembińska, J. Wilczek, J. Wende i inni. Egzekutywa ma rozwinąć „szerokie prace naukowo-badawcze nad twórczością Mickiewicza, nad ideologią i sztuką romantyzmu". Wyniki tych prac będą poddane dyskusji na centralnej sesji naukowej Polskiej Akademii Nauk, z udziałem przedstawicieli nauki Związku Radzieckiego. Będą również organizowane zjazdy towarzystw naukowych poświęcone twórczości Mickiewicza i podstawowym problemom jego epoki.

Plan wydawniczy Roku Mickiewiczowskiego obejmuje około 250 pozycji dzieł polskich i obcych pisarzy epoki romantyzmu, w tym drugie jubileuszowe wydanie dzieł Mickiewicza. Teatr Polski w Warszawie wystawi „Dziady", warszawski Teatr Narodowy „Kordiana", Teatr Nowy w Łodzi „Nieboską Komedię". Na scenach teatrów w całym kraju ukażą się nadto sztuki Słowackiego, Schillera, Hugo i innych pisarzy okresu romantyzmu.

Będą też organizowane wystawy z okazji Roku Mickiewiczowskiego, wieczory, akademie, imprezy artystyczne i odczyty. Punktem kulminacyjnym uroczystości ma być dzień 26 listopada, stuletnia rocznica śmierci Mickiewicza. W dniu tym odbędzie się premiera „Dziadów" i posiedzenie plenarne Związku Literatów Polskich, na Rynku krakowskim zostanie odsłonięty odbudowany pomnik Mickiewicza, a w Poznaniu na Placu Wolności będzie założony kamień węgielny pod nowy pomnik poety. W Warszawie nastąpi otwarcie Muzeum Mickiewiczowskiego.

„Trybuna Ludu" informuje, że łączny nakład utworów Mickiewicza w okresie dziesięciolecia wyniósł 4.500 tys. egzemplarzy. „Pana Tadeusza" wydano w ciągu tych lat dziesięciu 23-krotnie, łączny nakład tego poematu wyraża się cyfrą 1.800 tys. egzemplarzy. Zbiorowe wydania dzieł poety rozeszły się w liczbie 700 tys. egzemplarzy, „Grażyna" i „Wybory dzieł" osiągnęły 500 tys., „Ballady i romanse" miały 11 wydań.

KONKURS SZOPENOWSKI

20 marca odbyło się uroczyste zakończenie V międzynarodowego konkursu im. Fryderyka Chopina, rozpoczętego 21 lutego. Konkurs odbywał się w odbudowanym gmachu Filharmonii warszawskiej, wzięło w nim udział 75 pianistów, przybyłych z 24 krajów. Do drugiej eliminacji zakwalifikowano 41 pianistów, w finale konkursu wystąpiło ich 21. Jury konkursu składały się z 28 wybitnych znawców muzyki reprezentujących 25 państw.

Pierwszą nagrodę zdobył pianista polski Adam Harasiewicz, drugą — pianista sowiecki Władimir Aszkenazi, trzecią Chińczyk Fu Tsung. Ponadto przyznano jeszcze 20 dalszych nagród i wyróżnień, z których 17 zdobyli pianiści z obszaru sowieckiego. Nagrody wynosiły od 5 do 30 tysięcy zł.

SOCJALISTYCZNE NAUCZANIE

W jednej ze szkół warszawskich odbywa się akademia z okazji 10-ej rocznicy „wyzwolenia" Warszawy. Przed pulpitem staje dziesięcioletnia Krysia i, rozłożywszy zeszyt, zaczyna cieniutkim głosikiem wygłaszać swoje opracowanie. „Będziemy dalej budować Warszawę, umacniać zręby socjalizmu, pogłębiać sojusz robotniczo-chłopski, podnosić stopę życiową, produkcję globalną..." Dziecko ledwo widać zza wysokiego pulpitu.

Do redakcji „Trybuny Ludu" zgłasza się matka uczennicy IV-ej klasy z zapytaniem, czy może przejrzeć „Zeszyty Ekonomiczne", gdyż chce odszukać artykuł na temat podstawowego prawa socjalizmu i kapitalizmu. Nie dla siebie, lecz dla córki, której kazano zapoznać się z tym zagadnieniem.

W innej szkole dzieciom w klasie II-ej zadano wypracowanie na temat spółdzielczości produkcyjnej. Dzieci ściągnęły kilka zdań z gazet, a jedno z nich, odnalazłszy w domu statut spółdzielni, przepisało z niego aż dwie strony. Uczennice klasy V-ej piszą wypracowania pt. „Jaki jest wkład Stalina w dzieło pokoju", „Co zawdzięczamy partii" lub „Dzień kobiet". Jedna z uczennic w ten sposób ujmuje ostatni temat: „Niechaj kobiety polskie skupią się pod sztandarem Frontu Narodowego, krocząc w pierwszych szeregach ludu pracującego miast i wsi w walce o socjalizm, o nowe życie w naszym kraju. Niech żyją kobiety z całego świata! Niech żyje Międzynarodowy Dzień Kobiet!"

W jednej ze szkół wiejskich nauczycielka zleciła dzieciom napisanie wypracowania na temat bardziej przyziemny pt. „Moja mamusia". Odpowiedzi brzmiały: „Moja mamusia pojechała na kurs dla traktorzystów", „Moja mamusia założyła koło gospodyń wiejskich" itd. W innej szkole dzieci czytały „Janka Muzykanta". Nauczycielka, tłumacząc sens noweli, wyjaśniła im, że „tak żyły dzieci przed wojną i tak jeszcze żyją w państwach kapitalistycznych". Jedno z pojętniejszych dzieci wyciągnęło z tego pouczenia wnioski, pisząc w wypracowaniu: „W państwie kapitalistycznym dzieci czyszczą stajnię, pasą krowy, chodzą boso i nie chodzą do szkoły..."

„Podręczniki, zwłaszcza dla szkoły podstawowej" — utyskuje „Trybuna Ludu" — często jeszcze obejmują zbyt trudną dla dzieci tematykę" i są „zbyt przeciążone tematyką produkcyjną", ujawniając przy tym tendencję do „lakierowania" rzeczywistości. Dziewięcioletni uczeń klasy III, po przeczytaniu w czytance pt. „Powszechny Dom Towarowy", że „wszystko tam można dostać i ubrać się od stóp do głów nie wychodząc ze sklepu", robi sceptyczną uwagę: „A ja byłem z mamusią w PDT i nie mogliśmy kupić dla mnie sweterka, a dla mamy bucików, bo nie było takiego numeru..."

Nic dziwnego, że tego rodzaju metody nauczania nie dają wyników, jakich by życzyli sobie komuniści. Dzieci, zmuszone do bezmyślnego połykania komunistycznej frazeologii, wychodzą ze szkół nie z zapasem wiedzy o świecie, lecz z balastem niezrozumiałych dla nich określeń i sloganów. Komunistyczni wychowawcy „nowego człowieka" nie osiągają swego celu, rozwijając raczej w młodym pokoleniu instynktowne opory przeciw przyswajaniu dogmatów marksizmu. Lecz jest i strona ujemna tych metod wychowawczych: deprecjonują one w umysłach młodzieży wartość wielkich słów, haseł i idei. Wyzwolenie, sztandary, kroczenie w pierwszych szeregach... Wszystko to po latach, gdy młodzież ta dorośnie, brzmieć może w jej uszach pustym i fałszywym frazesem.

„KATOLICY SPOŁECZNIE POSTĘPOWI"

DOBRACZYŃSKI NA ZACHODZIE

W wydawanych przez reżymową ambasadę we Włoszech „Notizie polacche" (rok IV, nr 1, luty 1955) ukazał się artykuł Jana Dobraczyńskiego. Artykułowi temu „Osservatore Romano" w numerze z dnia 18 lutego poświęcił artykuł wstępny pt. „Zawinione pobłażania", zaznaczając, iż artykuł Dobraczyńskiego zasługuje na szczególną uwagę ze względu na to, że stara się wyjaśnić powody, dlaczego on, który mówi o sobie, że jest katolikiem (che si dice cattolico), uważa, że może współpracować z komunistami. Dziesięć lat temu, pisze pisarz „katolicki" (cudzysłów redakcji dziennika watykańskiego), rozpoczęła się w Polsce nowa faza zapału konstruktywnego: czyż mogłem ignorować tę rzeczywistość? Dlatego, jako realista, jakim jestem, musiałem złączyć pracę moją z pracą innych, ażeby chór był zgodny i aby jeden wspólny głos nawoływał do pokoju. Następują — pisze dalej dziennik watykański — rozważania nad zadaniami „pisarza katolickiego" (cudzysłów redakcji „Osservatore Romano") o charakterze drugorzędnym dla poruszanej przez dziennik sprawy. Natomiast o wiele bardziej interesujący jest długi wywód mający wykazać to, co wszyscy już dobrze wiedzą, mianowicie, że katolicyzm nie jest ojcem sztywnienia w bezruchu (immobimobilità), lecz ościeniem, podnietą postępu moralnego i materialnego. Dziennik watykański stwierdza, że to są rzeczy znane, ale należy sprecyzować, że chrześcijaństwo może być czynnikiem postępu także materialnego jedynie wtedy, gdy dla chrześcijanina istnieje prawdziwa możność pogłębiania swego życia moralnego i jeżeli ta moralność wewnętrzna może wyrazić się, w sposób odpowiedni, w czynach. Kiedy siły zewnętrzne temu przeszkadzają — pisze dalej „Osservatore Romano" — wówczas katolicyzm, jak każda inna siła moralna, jest uciemiężony, a kto twierdzi przeciwnie, żongluje słowami, ucieka przed rzeczywistością, zdradza prawdę przez zakłopotane przemilczenia i zawinione pobłażania.

W związku z poruszoną przez Dobraczyńskiego sprawą Inkwizycji „Osservatore Romano" stwierdza, że katolik kulturalny (un cattolico che faccia professione di cultura) powinien dobrze wiedzieć, czym była Inkwizycja w czasach, kiedy władze cywilne uważały herezję za przestępstwo przeciw państwu, i że Inkwizycja degenerowała się tylko wówczas, gdy tu i ówdzie opanowały ją władze cywilne. Dziennik watykański zapytuje, dlaczego Dobraczyński nie mówi o innej inkwizycji, o tej, która dziś, w imię ortodoksji czy nietolerancji marksistowskiej, zapełnia cmentarze czy krematoria, zaludnia więzienia czy obozy koncentracyjne. Ale to widocznie jest drugorzędne dla pewnych „katolików" (cudzysłów dziennika watykańskiego).

Dobraczyński przypomina w swym artykule słowa Ewangelii św. Mateusza, że chrześcijanin „dobywa ze skarbca swego rzeczy nowe i stare". To właśnie — stwierdza „Osservatore Romano" — czyniły pokolenia chrześcijan przez dwadzieścia wieków wśród błędów i opuszczeń, nie oczekując „epok wielkich zmian". Oni — chrześcijanie — byli tymi, co zmieniali historię. Inni, a w szczególności komuniści, wyszli z reminiscencji chrześcijańskich oderwanych od ducha i litery, które czyniły je żywotnymi. Chcieli je usprawiedliwić i usystematyzować przez mity stworzone przez człowieka według jego miary ziemskiej i cielesnej i zwalczają literę i ducha w nienawiści do „przesądu". Jest moment — kończy „Osservatore Romano" — bronienia skarbca a nie otwierania go, by z gracją dawać nieprzyjacielowi to, co mu może posłużyć do dokończenia roboty.

KRONIKA KRAJOWA

Z Życia Partii Komunistycznej

Z łamów prasy krajowej nie schodzi nadal zagadnienie „umacniania związku partii z masami". „Masy są twórcami historii" — oświadcza „Trybuna Ludu". „Historia ludzkości, to przede wszystkim historia mas pracujących, twórców wszystkich dóbr materialnych". Rewolucje kończyły się klęskami, gdy nie znajdowały oparcia w masach. Powstania polskie w wieku XIX nie udały się, gdyż nie potrafiły zmobilizować mas do walki. Na masach ludowych czyli klasie robotniczej ciąży obowiązek ostatecznej likwidacji kapitalizmu, który, jak wiadomo, nie jest już zdolny do życia.

Tego posłannictwa masy mogą jednak dopełnić tylko pod przewodnictwem partii. „Świadomość i organizację może wnosić w masy tylko partia marksistowsko-leninowska". Autorowi tych uwag nie przychodzi na myśl, że masy mogą być innego zdania i nie życzyć sobie tego kierownictwa. Opierając się na swym apodyktycznym założeniu, autor oświadcza dalej, że „siła mas tkwi w ich skupieniu wokół partii i im większy jest wpływ partii na masy, tym większa jest rola mas jako twórców nowego ustroju". Innymi słowy — masy to partia; bez partii nie mogłyby one dać sobie rady z tworzeniem historii. Powstaje pytanie, jak dawały sobie radę, gdy jeszcze nie było Marksa ani Lenina ani komunistów.

Przeprowadziwszy znak równania między partią a masami, „Trybuna Ludu" wytyka partii błędy i wypaczenia w realizacji jej dziejowej misji. Oto partia zamiast rozmawiać z masami i przekonywać je, ma tendencje do biurokratycznego komenderowania i administrowania, co oczywiście odrywa ją od mas.

Skłonność do komenderowania przejawia się także, wbrew zasadzie demokracji wewnątrzpartyjnej, w stosunkach między organami partii. Wyższe instancje chcą widzieć w niższych ogniwach partyjnych jedynie posłusznych wykonawców, unikają krytyki i samokrytyki oraz dyskusji na „drażliwe tematy". Panuje zasada, że „krytykować muszą przede wszystkim góry, a doły są od połykania krytycznych uwag i od samokrytykowania się".

Ten brak demokratyzmu w stosunkach wewnętrznych partii znajduje szczególnie jaskrawy wyraz w traktowaniu aktywistów przez jej kierownicze organy. „Nagminnie występuje zjawisko, że niemal wyłączną formą kontaktu instancji z aktywem są tzw. odprawy... Aktywiści siedzą z notesami w ręku, wysłuchują kolejnych referatów i informacji, otrzymują tzw. przydziały zadań. A wymiana zdań, myśli, doświadczeń? Do tego nader rzadko dochodzi..." „Wynikiem jest zanik inicjatywy, samodzielności myślenia i bojowości aktywistów. Dyscyplina jest potrzebna partii — poucza „Trybuna" — ale ci działacze, którzy lubią mieć do czynienia jedynie z aktywem „posłusznym i posłusznym", wyrządzają złą przysługę partii, nie rozumiejąc leninowskiej zasady kolegialnego kierownictwa.

Utożsamiając więc masy z partią, „Trybuna" wzdraga się przed krokiem następnym — utożsamieniem partii z elitą przywódców. A przecież leninowski „centralizm demokratyczny" w wersji stalinowskiej do tego właśnie prowadzi. Powstaje zdyscyplinowany lecz bezduszny aparat biurokratyczny działający z automatyzmem maszyny i jej bezmyślnością. „Chcemy — oświadcza „Trybuna" — podnieść inicjatywę, samodzielność, aktywność szerokich rzesz członków partii". Piękny zamiar, ale PZPR przestałaby wówczas być partią komunistyczną.

„Trybuna Ludu" krytykuje również inne zjawisko w stosunkach między członkami partii, rozpowszechnione zresztą w całym ludowo-demokratycznym aparacie rządzenia, tzw. poufne opinie. Pismo przytacza przykłady. Kurator sądowy z racji sprawy o alimenty zebrał o pozwanym Kr.. członku partii, poufne opinie o nim od jego towarzyszy partyjnych. Opinie wypadły nieszczególnie. Sekretarz POP oświadczył kuratorowi, że choć Kr. jest pracownikiem bardzo dobrym, nikt nie chce z nim pracować, gdyż... jest typem ciężkim, uchylającym się od konkretnych robót (widocznie partyjnych) pod pozorem choroby: fałszywy, kretynowaty, heretyk, przez kolegów nie lubiany, „ustawiony jako sobek". Dwaj towarzysze partyjni Kr. dopełnili tej charakterystyki stwierdzając, że nie jest on godnym członkiem partii, lecz szubrawcem.

Gdy doszło do zbadania sprawy, autorzy tych opinii zaprzeczyli , aby mieli nazywać Kr. „fałszywym, kretynowatym szubrawcem"; okazało się nadto, że Kr. pracuje od lat dziesięciu w jednej instytucji, a od lat siedmiu jest członkiem partii i z żadnej strony nie spotykały go nigdy zarzuty.

Inny wypadek, o którym pisze „Trybuna". Człowiek, który zwolnił się z pracy z jakiegoś osobistego powodu, nie mógł następnie otrzymać nigdzie zajęcia, gdyż szła za nim nieznana mu poufna opinia. „Czy rzeczywiście" — pyta „Trybuna" — jest rzeczą niezbędna, aby przy przyjmowaniu człowieka do pracy w Centrali Aptek lub w spółdzielni „Końskie Chomąta" zasięgano koniecznie poufnej opinii?"

Pytanie brzmi nieco naiwnie. Kartoteki i poufne opinie są podstawą rządów w policyjnym państwie. Obejmują one nawet najwyższych dygnitarzy partyjnych, wkraczając bez żenady w intymne szczegóły ich życia osobistego. Intrygi kwitną w świecie komunistycznym, członkowie partii notują skrzętnie wiadomości mogące we właściwej chwili pogrążyć ich przyjaciół partyjnych. „Trybuna" nie poważy się jednak atakować kartotek w żelaznych szafach Bezpieki.

* * *

Motyw „nawiązania więzi z masami" powtarza się stale w prasie krajowej ostatnich czasów, a jego jednostajność świadczy, że nawoływania nie dają wyników. Partia nie zaprzestaje poszukiwania szczeliny, przez które mogłaby przedostać się do społeczeństwa, lecz szczelin widocznie nie ma. przegroda izolacyjna jest ścisła. W tym wytrwałym poszukiwaniu „łączności z masami" jest pewna swoista cecha komunizmu polskiego, nieistniejąca w komunizmie sowieckim; niewiara w skuteczność przymusu jako wyłącznego narzędzia rządzenia. Lecz jest to błędne koło, gdyż rezygnacja z przymusu byłaby samobójstwem partii.

Procesy

Partii zależy na wykazaniu, że grudniowa reorganizacja organów bezpieczeństwa nie wpłynęła bynajmniej na osłabienie ich działalności, ujmując jedynie tę działalność w ramy „praworządności ludowej". Stąd liczniejsze niż zazwyczaj w prasie wzmianki o procesach sądowych i wyrokach. Ludzi trzymanych latami w więzieniu bez sądu stawia się obecnie przed sądem i skazuje za przestępstwa popełnione jeszcze za czasów okupacji niemieckiej.

Tak więc, Sąd Wojewódzki w Warszawie skazał na 12 lat więzienia Józefa Dubiela, b. wiceministra Ziem Odzyskanych, pod zarzutem współpracy z Gestapo. Dubiel, był w swoim czasie wmieszany w sprawę Gomułki.

Pod tym samym zarzutem skazany został na dożywotnie więzienie Ludwik Kalkstein; przyczynił on się, według „Trybuny Ludu", do dekonspiracji generała Grota-Roweckiego.

Na 6 lat więzienia została skazana Lucyna Zdanowska, pod zarzutem znęcania się nad więźniarkami politycznymi w okresie pełnienia przez nią funkcji kierowniczki więzienia dla kobiet (przed wojną).

Trybunał wojskowy w Łodzi skazał na karę śmierci Ludwika Danielaka, oskarżonego o „liczne morderstwa i rabunki". Danielak uprawiał w r. 1949 akcję partyzancką, w której wyniku zginęło 25 członków partii.

Sąd Wojewódzki w Łodzi skazał na karę śmierci Hermana Altmana, hauptsturmfuerera SS, oskarżonego o masowe mordowanie Żydów w Piotrkowie.

Adwokatura w Polsce

„Adwokat, prokurator i sąd" — poucza „Trybuna Ludu" swych czytelników — „to trzy człony wymiaru sprawiedliwości; prawdziwe funkcjonowanie tych trzech członów pozwala wyświetlić obiektywną prawdę: A nic innego, tylko prawda obiektywna może być podstawą ferowania sprawiedliwego wyroku". Niestety, rzeczywistość jest inna. „Wśród niektórych prawników... panowały poglądy, iż znana w Polsce nawet jeszcze przed odkryciem Ameryki prawda o tym, że adwokat powinien stawać w obronie oskarżonego, nie ma zastosowania w państwie ludowym". Zbyt wielką rolę w procesie ludowo-demokratycznym przypisuje się prokuratorowi, pomniejsza się zaś rolę obrońcy, zakładając z góry, że ten tylko „kręci" i „gmatwa, słowem — jest nieuczciwy". Adwokat zatem, chcąc uniknąć tego rodzaju zarzutów, obawia się „mocno bronić" swojego klienta, choćby był przeświadczony o jego niewinności; „mocna obrona" może go narazić na pogróżki ze strony prokuratora, a nawet odpowiedzialność dyscyplinarną. Zdarzało się, że prokurator, natrafiwszy na zbyt śmiałego obrońcę, „replikował mu w ten sposób, że adwokatowi chodziło już nie tylko o swego klienta, ale i o własną skórę".

„Trybuna" nie chce być gołosłowna, więc przytacza przykłady. Adwokat Jerzy M. bronił przed sądem w Inowrocławiu Stanisława P. oskarżonego o złośliwe niewykonanie obowiązkowych dostaw. Prokurator wywodził, że oskarżony jest kułakiem i wykazał złą wolę, obrońca twierdził, że oskarżonemu wyznaczono niesłusznie zbyt wysoki wymiar dostaw oraz że nie jest kułakiem, ponieważ nikogo nie wyzyskuje. Sąd uniewinnił oskarżonego, ale adwokata M., członka partii, pociągnięto do odpowiedzialności partyjnej za to, że bronił kułaka.

„Trybuna", cytując przykłady, wstrzymuje się jednak od sięgania w dziedzinę procesów politycznych, gdzie mogłyby być one najobfitsze. Obrońca w procesie przed sądem powszechnym, choć skrępowany postawą prokuratora, odważa się niekiedy pełnić sumiennie swą rolę; w procesie o przestępstwa polityczne, należące do sądów wojskowych, ogranicza się on zazwyczaj do współdziałania z prokuratorem. Inna postawa mogłaby go narazić na zarzut „solidaryzowania się ze zdrajcą ojczyzny lub mordercą", a zarzut taki byłby końcem jego kariery.

Autor artykułu, ubolewając nad upośledzeniem adwokatury w wymiarze sprawiedliwości ludowej, proponuje pewne środki zaradcze, nie sięgają one wszakże w istotę rzeczy. Istotą jest przejęte z sądownictwa sowieckiego założenie, że oskarżony jest winny, skoro się znalazł przed sądem. Centralną postacią w systemie sądownictwa sowieckiego i systemach pokrewnych jest prokurator; ustawa obdarza go szerokimi uprawnieniami, pozwalającymi mu górować w procesie nie tylko nad obrońcą, lecz i nad sądem. Nie ma równości stron w tym procesie: prokurator jest mężem zaufania rządzących, stróżem i obrońcą ustroju, miarodajnym interpretatorem prawa; obrońca — w najlepszym razie krętaczem. „Trybuna" zastanawia się naiwnie, skąd się wziął pogląd, że adwokat nie ma prawa bronić oskarżonego; pogląd ten tkwi w założeniach systemu, dla którego wartością najwyższą jest interes partii.

Zawód adwokacki — informuje „Trybuna" — jest upośledzony i pod innymi względami. Adwokatowi nie wolno należeć do związków zawodowych, nie jest on objęty ubezpieczeniami, nie ma prawa do urlopu itd. Adwokaci pracują w tzw. zespołach, autonomia adwokatury zniknęła bez śladu. Pierwsze rady adwokackie były mianowane przez Ministerstwo Sprawiedliwości i działały przez 9 lat. W końcu r. 1954 dawne władze adwokackie zastąpiono nowymi, pochodzącymi również z nominacji.

Pomimo niezachęcających warunków pracy, adwokaci w Polsce „rodzą się jak grzyby po deszczu". Przyczyna tkwi w dwu źródłach dopływu do adwokatury; jedno z nich — to kandydaci, którzy ukończyli studia uniwersyteckie i odbyli aplikację adwokacką, drugie — to protegowani Ministerstwa Sprawiedliwości, zwolnieni przezeń od studiów bądź aplikacji lub nawet od obu tych warunków. „Adwokaci uważają" — pisze „Trybuna" — „że to drugie źródło tryska zbyt obficie". Nic dziwnego — „budowa socjalizmu" musi wszak sięgnąć i w dziedzinę adwokatury, tworząc kadry obrońców sądowych, pozbawionych wprawdzie elementarnych kwalifikacji prawniczych, lecz za to pojmujących należycie „interes klasy robotniczej".

Z tym wszystkim artykuł „Trybuny Ludu" jest wyrazem tych samych pseudoliberalnych tendencji, jakie charakteryzują wiele ostatnich posunięć reżymu.

Rolnictwo

KUKURYDZA

W lutym rb. Chruszczow ogłosił swój plan zwiększenia w Związku Sowieckim uprawy kukurydzy, mający „dorównać Ameryce, a nawet ją prześcignąć". Prezydium rządu w Polsce powzięło niezwłocznie podobną uchwałę. Uchwała ta stanowi, że obszar zasiewu kukurydzy ma z roku na rok wzrastać, aż osiągnie 250 tys. ha. Kukurydza ma być objęta tzw. kontrakcją, chłopi przechodzący na jej uprawę mają otrzymać ziarno siewne, sprowadzane nawet częściowo z zagranicy, będzie ona też zaliczana na obowiązkowe dostawy według relacji 100 kg kukurydzy za 100 kg zboża. Szeroka akcja popularyzacyjna ma przekonywać chłopów o użyteczności tej rośliny.

Kukurydza jest doskonałą paszą dla świń, uchwała przez zwiększenie jej uprawy chce podnieść niezadowalający, podobnie jak w Rosji, stan pogłowia nierogacizny.

PORZUCANIE ZIEMI

Z relacji „Trybuny Ludu" wynika, że w wielu miejscowościach Polski chłopi licznie porzucają ziemię. W r. ub. 100 chłopów z powiatu Nidzica, liczącego ok. 3.000 gospodarstw, złożyło podania, zrzekając się przydzielonej im ziemi. Drugie tyle chłopów w tym samym powiecie porzuciło ziemię bez składania podań.

Korespondent „Trybuny", nie dowierzając motywom formalnym, przytaczanym w podaniach, zaczął badać sprawę i doszedł do symptomatycznych ustaleń. Gospodarz Pawłowski już drugi rok ubiega się o zwolnienie go z gospodarstwa, niegdyś dość zamożnego, dziś mającego w swym ubogim składzie zaledwie krowę i konia. W r. 1951 zabrano mu 3 ha łąki i przydzielono ją świeżo zorganizowanej spółdzielni produkcyjnej. Zabiegi o odzyskanie łąki były daremne, powiedziano mu, że może sobie jej szukać „na księżycu". Dla urzędów podatkowych i PZUW pozostał on jednak nadal właścicielem łąki; podatki, dostawy zboża, mleka, mięsa wymierzano mu od 10 ha ziemi, podczas gdy gospodarował on tylko na siedmiu. Za uchylanie się od dostaw trafił nawet do więzienia, skąd go wykupił zięć, przejmując jego zobowiązania. Chciałby gospodarować nadal, ale już nie może.

Gospodarz Urbanowicz został zmuszony wynieść się z domu, przydzielonego mu aktem nadania i przenieść na strych, gdzie z żoną i sześciorgiem dzieci zajął dwie małe izdebki. Dom był upatrzony na siedzibę gromadzkiej rady narodowej. Żona Urbanowicza spadła ze stromych schodów i poroniła, dziecko zwichnęło nogę. Gospodarstwo zaczęło podupadać, złożył podanie o zwolnienie.

Gospodarz Gutowski, zachęcony zapewnieniami, że od zagospodarowanych odłogów nie płaci się w pierwszym roku świadczeń, zasiał 3 ha odłogów. Po żniwach wymierzono mu podatek już nawet nie z trzech, lecz z pięciu ha zagospodarowanych odłogów. Chce porzucić gospodarstwo, jedno z najlepiej prowadzonych w jego wsi.

Ałdaś z Olszewa pracował po wojnie już na trzech gospodarstwach. Z pierwszego go usunięto, ponieważ wróciła jego właścicielka, drugie się spodobało PGR-om, trzecie było gospodarstwem opuszczonym, objętym zwolnieniami od świadczeń na rzecz państwa. Pod koniec drugiego roku pracy otrzymał nakaz płacenia podatku za cały rok ubiegły. Poborca zabrał mu radio, zarządzono licytację jego ruchomości. Zrezygnował z gospodarstwa.

Wypadków takich, twierdzi „Trybuna", jest znacznie więcej. Wszystko to się dzieje przy akompaniamencie nieustannych nawoływań do „umacniania sojuszu robotniczo-chłopskiego" i podnoszenia produkcji rolnej.

Zakończenie stanu wojny

Rada Państwa powzięła w dniu 18 lutego r.b. uchwałę o zakończeniu stanu wojny między Polską Rzeczpospolitą Ludową a Niemcami. Uchwała, po frazeologicznym wstępie, deklaruje, że między Polską a Niemcami ustanawia się stosunki pokojowe. Podobną uchwałę ogłosił nieco przed tym, jak wiadomo, rząd sowiecki.

DYSKUSJE

STOSUNEK DO KRAJU

Chciałbym poruszyć tu kwestię, która od dawna leży mi na sercu — mianowicie kwestię stosunku emigracji do tego, co się dzieje w Polsce.

Oczywiście, mówiąc o emigracji, trudno tu generalizować. Inaczej myśli o sprawach polskich ten, kto wyjechał z Polski w roku 1939 i dzisiejszej Polski, jej życia i stosunków kompletnie nie zna, a inaczej ten, kto ją opuścił np. w roku 1950. Inaczej także ten, co ma w kraju rodzinę i stale z nią koresponduje, niż ten, kto żadnego kontaktu z krajem nie utrzymuje. Tyle jest odmian stosunku do kraju — ilu jest Polaków na emigracji. Mówiąc o tym stosunku ograniczę się tu do jednego tylko odcinka życia emigracji — mianowicie do emigracyjnej prasy.

Ujmując rzecz zwięźle, trzeba stwierdzić, że stosunek znacznej większości prasy emigracyjnej do kraju jest zupełnie fałszywy, a nawet wręcz oburzający. Teoretycznie wprawdzie cała prasa stoi na stanowisku, że czujemy się jako emigracja jednym społeczeństwem z krajem, pragniemy solidaryzować się z jego uczuciami, żyć jego życiem, rozumieć jego sprawy, odczuwać tętno jego krwi jak żywa część organizmu narodu — a negatywny stosunek mamy tylko do komunistycznego reżymu. Ale w praktyce, stanowisko znacznej części prasy emigracyjnej wobec spraw krajowych sprowadza się do nieustannej, konsekwentnej negacji.

Czego się przeciętny czytelnik gazet emigracyjnych dowiaduje z ich łamów o Polsce? Pamiętajmy, że czytelnik gazet emigracyjnych jest bardzo często człowiekiem, który Polski prawie nie zna — i który z pewnością o wiele bardziej niż wpływem komunizmu jest zagrożony wynarodowieniem na rzecz krajów osiedlenia, lub po prostu na rzecz ogólnozachodniej postawy kosmopolitycznej, czy narodowo obojętnej, toteż o wiele więcej niż antykomunistycznej propagandy potrzebuje wiadomości, które by pogłębiły jego wiedzę o Polsce i powiększyły jego miłość do niej. A tymczasem z polskich gazet emigracyjnych dowiaduje się przede wszystkim tego, że w Polsce wyrabiają guziki o trzech dziurkach zamiast czterech, o wybrykach chuligańskich i o łapownictwie w sowchozach. Czy naprawdę nic się w Polsce nie dzieje ciekawszego, ważniejszego i bardziej godnego uwagi? Jakie pojęcie wyrabia sobie o Polsce emigrant, codzień karmiony taką lekturą i nie znający innej? Jakiego pojęcia nabrałby ktoś na przykład o Anglii, gdyby o niej czytał tylko procesy kryminalne, wiadomości o nadużyciach podatkowych, opisy katastrof, pożarów, powodzi, opadów śnieżnych, w których giną setki ludzi i w najlepszym razie relacje o kłótniach politycznych à la Bevan?

Cóż to jest czytelnik gazet emigracyjnych? — To jest po pierwsze, w dużym odsetku człowiek młody, który Polskę ledwo pamięta. To jest po drugie człowiek, który zna tylko jeden zakątek Polski, ale zgoła nie zna Polski jako całości. To jest po trzecie człowiek, który wprawdzie znał Polskę sprzed 1939 roku, ale zbyt mało wie o Polsce dzisiejszej.

Iluż jest Polaków na emigracji, znających jeden powiat na Wołyniu, czy Polesiu, znających także Rzym, Londyn, Paryż, Kołymę, piramidę Cheopsa, Kanał Sueski, Alpy, bodaj czy nie Himalaje, — ale nie znających ani Warszawy, ani Krakowa, ani Poznania, ani Wrocławia, ani Gdańska, ani Gdyni, ani Łodzi, ani Zakopanego! Robiąc porównania Polski ze światem, nie porównują oni Warszawy z Paryżem, ani Wilna czy Krakowa z Florencją, ani Łodzi z Manchesterem, ani urządzeń portowych gdyńskich z londyńskimi, ale porównują z Rzymem, Paryżem, Londynem swój Horochów, czy Sarny. Otóż prasa emigracyjna utwierdza ich w tej błędnej perspektywie, mówiąc im tylko o polskiej biedzie, ucisku i upadku, a nie mówiąc o tym, co jest wielkością, siłą i urokiem Polski.

A z ręką na sercu, nawet ci Polacy najwykształceńsi i najlepiej znający Polskę — i już nie młodzi — czy naprawdę niczego więcej o Polsce nie potrzebują się dowiedzieć? Ilu z nich zna dobrze Wrocław? Ilu z nich, spojrzawszy na fotografię wspaniałego kościoła, powie od razu, że to kościół Najświętszej Panny Maryi na Piaskach?

Jedna z rzeczy, która się ogromnie w Polsce zmieniła — to jest wzrokowy obraz naszych miast. Miasta nasze zostały zburzone — i teraz odbudowały się, albo się odbudowują. Co my o ich dzisiejszym wyglądzie wiemy, jeśli nie czytujemy stale „Tygodnika Powszechnego" i nie oglądamy krajowych książek, poświęconych odbudowie? Rodowity warszawiak, przywieziony dziś z zamkniętymi oczyma do Warszawy, nie umiałby po prostu rozpoznać, gdzie jest. A co wiemy o odbudowie Gdańska? O odbudowie Wrocławia? Przecież w odbudowę tych trzech miast społeczeństwo polskie włożyło nie tylko z pieniędzy podatkowych, ale i z dobrowolnych, wzruszająco ofiarnych składek, po prostu fantastyczne sumy! Przecież o odbudowę tę stoczona została ogromna, wręcz historyczna walka — i w walce tej naród polski, uosobiony w swoich architektach, reprezentujących polską tradycję i kulturę, odniósł nad niwelatorskim barbarzyństwem zwycięstwo. W takim Gdańsku chciano skorzystać ze zburzenia miasta dla zrównania ruin z ziemią i zbudowania na nich czegoś nowego, nowoczesnego, piękniejszego, czegoś na miarę Stalingradu, Tel-Awiwu, Ankary. Opór polskiej opinii publicznej nie dopuścił do tego. Z całym pietyzmem, z całą troskliwą pieczołowitością, z całą miłością odbudowuje się stary, piękny Gdańsk w jego dawnym kształcie, kościół za kościołem, ulica za ulicą, dom za domem, fasada za fasadą, przedproże za przedprożem. Czy to nie godne uwagi? Nie godne uwagi zwłaszcza przez porównanie z londyńską City, gdzie tyle kościołów leży spokojnie w gruzach od lat piętnastu? A co my o tym na emigracji wiemy?

Prasę emigracyjną obiegła niedawno wiadomość, że katedra i kościół św. Marii Magdaleny we Lwowie dotąd są czynne i że jak doniosła sowiecka agencja TASS ten ostatni kościół został nawet ze składek parafian odnowiony. Czy to nie szkoda, że prasa emigracyjna nie przypomniała nam, jak te kościoły wyglądają, przez wydrukowanie ich fotografii? — Tyle miejsca poświęca ta prasa niemal co dzień wizerunkom naszych pięknych, a czasem i nie tak bardzo pięknych „królowych piękności"! Czy nie warto, by znalazła miejsce także i dla takiego drobiazgu, jak wizerunek tych dwóch dotąd stawiających przeciwnościom czoła kościołom za linią Curzona? A także by poświęciła trochę miejsca i obecnemu wyglądowi kościoła Mariackiego w Gdańsku? I odnowionemu Rynkowi we Wrocławiu? I Rynkowi Staromiejskiemu w Warszawie? I odkryciom przedhistorycznym w Kruszwicy? I informacji, jak można złapać falę radiową z konkursem chopinowskim w Warszawie?

Polska — to nie jest tylko Bierut, i Rokossowski, i sfora łapaczy i katów z Bezpieki, z krórą zapoznaliśmy się dokładniej dzięki rewelacjom Światły. Polska — to jest 27 milionów naszych rodaków w granicach dzisiejszego państwa (nie licząc sporej garści za linią Curzona), a to są tacy sami Polacy jak my, to są Polacy, którzy żyją, czują, pracują, walczą i nie dają się złapać. Polska — to jest ponadto także pejzaż, i architektura, i zboże na polach, i węgiel w ziemi, i stal, walcowana w stalowniach. To są dzieci w kołyskach i to są kolejki przy konfesjonałach, i to są stuły, związujące ręce nowożeńców. I to jest „Ojcze Nasz" matek, uczących swoje dzieci i to są, słowa „Pana Tadeusza" i „Trylogii", na pewno dotąd przez nikogo nie zapomniane. O tej Polsce przede wszystkim chcemy jak najwięcej słyszeć — i o niej powinniśmy dostarczać jak najwięcej informacji naszej młodzieży i w ogóle tym, co o niej mało wiedzą. I tej Polski sami jesteśmy najwięcej ciekawi.

Oczywiście, obraz kraju podawany przez naszą prasę musi być pełny i prawdziwy. Nie może w tym obrazie zbraknąć także i informacji o biedzie, o ucisku, o nadużyciach, o niedomaganiach, o komunistycznej dezorganizacji, o zależności od Rosji, o prześladowaniu kościoła, o lizusostwie i płaszczeniu się, o wszystkich w ogóle stronach ciemnych, smutnych, bolesnych i groźnych. Ale obraz musi być zrównoważony i zachowywać należyte proporcje. I punktem wyjścia musi być w nim to, że Polskę kochamy, że do niej tęsknimy, że martwimy się i cieszymy tym, co w jej życiu jest godne radości i smutku — a nie, że nią pogardzamy, że się od niej odwracamy i z niej drwimy.

Jeszcze jeden fakt — dla ilustracji.

Sędziwa królowa Elżbieta belgijska, babka obecnego króla, a wdowa po królu Albercie, ta sama, co na koncertach Paderewskiego wstawała, gdy wchodził na estradę, by uczcić go, a w nim uczcić Polskę, postanowiła udać się do Warszawy na konkurs chopinowski. Prasa emigracyjna podniosła z tego powodu alarm — i usiłowała ją odwieść od tego zamiaru.

Moskwa jest wciąż pełna gości z Zachodu; gości wszelkiego kalibru. Jugosławia roi się od zachodnich turystów i letników. Nawet na Węgry zaczynają w tym roku jeździć wycieczki autobusowe z Londynu. Ale Polska jest odcięta od świata. Osoba wybitna, mądra, znająca świat, doświadczona, mająca w świecie prestiż i stosunki, przyjazna naszemu narodowi, katoliczka, nie komunistka, a nawet — można powiedzieć — mająca coś niecoś wspólnego z najbardziej tradycyjnymi pierwiastkami ustroju społecznego Europy jedzie do Polski nie dla udziału w jakiejś niepożądanej demonstracji politycznej, ale w celu czysto kulturalnym. Pewnie niejedno zobaczy, o niejednym się dowie, z niejednym porozmawia. Przywiezie do Belgii trochę bezpośrednich i bezstronnych wrażeń i spostrzeżeń z Polski. Czy to źle? Źle dla Polski? Dla naszego narodu? Dla naszej sprawy? Dla emigracji?

Ludzie, przeżegnajcie się i zastanówcie! Gdzie tu sens i gdzie tu piąta klepka! Nie dziwilibyśmy się, gdyby na pomysł protestu w tej sprawie wpadła zamówiona propaganda, prowadzona przez cudzoziemców, których sprawy polskie w gruncie rzeczy ani ziębią, ani grzeją. Ale protest — polskiej emigracji?

Zaiste, dziwnie brak jest niektórym ośrodkom życia polskiego na emigracji zdrowego, polskiego instynktu.

POLONUS

Z ZAŁOBNEJ KARTY

ZGON WŁADYSŁAWA UMIŃSKIEGO

(1865 — 1954)

Prasa w Polsce („Dookoła Świata" nr 10) podaje wiadomość o śmierci Władysława Umińskiego.

Bliski sercom młodzieży aż trzech bodaj pokoleń sędziwy pisarz zmarł w Polsce w ostatnim dniu 1954 roku przeżywszy prawie lat 90.

Dotknięty od lat najmłodszych tęsknotą twórczej przygody Władysław Umiński szukał jej na szlakach jeszcze nie zbadanych, wśród zawrotnych możliwości techniki, na drogach odkryć naukowych. Pełen twórczej fantazji wybiegał w swoich fantastycznych książkach daleko myślą poza osiągnięcia współczesnej sobie techniki. Już w pierwszej książce „Żegluga powietrzna", napisanej z górą sześćdziesiąt lat temu, daje wyraz daleko posuniętym przewidywaniom na temat rozwoju lotnictwa. Dzisiejszej młodzieży prawdopodobnie już ta książka niczym nie zadziwi, jak i nie zadziwi jej już pewnie podróż „Balonem do bieguna", a nawet i fascynująca wyprawa „Łodzią podwodną do bieguna". Ale w czasach, kiedy te książki się ukazały, młodzież szkolna, a w szczególności młodzież męska, czytała je z pasją i zachwytem, znajdując w nich ucieleśniony i jakże realny w szczegółach obraz wielu wybujałych marzeń chłopięcych.

Są jednak wśród książek Umińskiego i takie, w których rozczytuje się i młodzież dzisiejsza. Należą do nich „Flibustierowie" (około 150.000 nakładu), „Podróż bez pieniędzy", „Znojny chleb" i wiele innych. Książka z roku 1899 „Zwycięzcy oceanu" doczekała się dziesiątego z kolei nakładu.

Polski Verne — Władysław Umiński był szczodry dla swoich młodocianych czytelników. Prawie co roku obdarowywał ich nową książką. Toteż zebrało się ich w sumie niemało. Stanowią one bogaty i interesujący wkład do literatury młodzieżowej w Polsce.

KSIĄŻKI

„ROK POLSKI"

Kiedyś o. Bocheński wystąpił z projektem wydania „księgi rzeczy polskich" na wzór brewiarza, dla polskich — powiedzmy poetycznie — pielgrzymów. Miałyby w niej być pomieszczone skarby myśli i piśmiennictwa narodowego, przypomnienia najważniejszych wydarzeń z dziejów, zwięzły opis ziem Rzeczypospolitej. Pielgrzym, czyli, mniej poetycznie, uchodźca polski mógłby każdego dnia przeczytać po parę stroniczek, aby przenieść się duszą utęsknioną do ojczyzny.

„Rok polski" Zofii Kossak posiada coś z ducha tego pomysłu. Przedstawia naszą wiarę i obyczaj w przebiegu roku. Jest to jakby kolekcja dwunastu miniatur, oznaczonych nazwami miesięcy, ze wspólną sentencją, rozpiętą nad nimi: **„Bóg cię widzi, czas ucieka, śmierć się zbliża, wieczność czeka".** Pióro autorki było zdolne w każdej z tych miniatur pomieścić dodatkowe wątki, jakby ozdobne liścienie czy filigrany. A więc tu i ówdzie odsłania się przed czytelnikiem krajobraz polski, to znów sceny z dziejów, żywoty naszych świętych, zarysy pomników lub dzieł sztuki, sprzęty domowe i narzędzia pracy, nawet sylwetki ludzkie. A także piękno mowy, żywej i starej, jakby popis czysto kolorystyczny, bezprzedmiotowy.

Ale to złote ziarno znalazło się w okładkach książki, niby w śpichrzu po żniwie, zebrane nie ze studiów, opisów i opracowań, lecz wypielęgnowane ciepłem własnego serca i zżęte sierpem doświadczenia autorki. Zofia Kossak zna i rozumie ziemię nie poprzez księgozbiory, ale przez trud i umiłowanie własne. Na tym polega urok „Roku polskiego" — na gospodarskiej mądrości i wiedzy o ziemi. „Rok polski" jest dziełem wytrawnego artyzmu, pióra lotnego, myśli rozważnej, serca kochającego.

Książka nie poprzestaje na epickim opisie. Te nowoczesne georgiki polskie są też małymi traktatami moralnymi i jakby próbami filozoficznymi. „Lipiec" — najpiękniejszy rozdział książki — jest rozprawą o szczęściu pracy, wrzesień — pochwałą pokoju, listopad — rozważaniem o łączności pokoleń.

Jest wreszcie „Rok polski" poematem wygnańczym, eposem tęsknoty, zrodzonym z ducha „Pana Tadeusza". U jego początku z pewnością stały słowa: „do tych pól malowanych zbożem rozmaitem".

Rok polski, to rok Kościoła katolickiego, rzymsko-katolickiego, z pewnymi wpływami grecko-katolickiego. Zofia Kossak osnuła książkę wokół kalendarza, świąt kościelnych, uroczystości patronów Kościoła powszechnego, a zwłaszcza świętych polskich. Rok kościelny nie jest przypadkowym zbiorem świąt i uroczystości. Zamyka się w nim nie tylko cykl Objawienia, ale i misterium przyrody, cudownie sharmonizowane z życiem i potrzebami człowieka, pamiątki minionych czasów, drogowskazy pokoleń w drodze ku wieczności. Któryż miesiąc byłby bardziej odpowiedni dla Narodzenia, jak nie grudzień, kiedy się noc przesila? Albo któryż byłby najodpowiedniejszy od kwietnia dla Zmartwychwstania? Albo któryż byłby odpowiedniejszy kiedyż moglibyśmy czcić zmarłych, jak nie w miesiącu, kiedy z drzew opadają liście?

Praca i wytchnienie, znój i marzenie, radość i troski ludzkie zrosły się wieczyście ze świętami i dniami świętych, powiązanymi z przyrodą.

Odnosi się to do narodów w kręgu cywilizacji chrześcijańskiej, a także w pewnym stopniu do kultur poprzedzających chrześcijaństwo w basenie Morza Śródziemnego. Polska jako jeden z najmłodszych krajów chrześcijańskich chłonęła bardzo chciwie nie tylko naukę Chrystusową, ale także wszystkie obrzędy i zwyczaje chrześcijańskie. Mawiamy zwykle, że pewne przejawy kultu i zwyczaje kościelne istnieją tylko u nas. Że tylko u nas groby Pańskie, rezurekcja, święcone, procesja Bożego Ciała, wigilia, żłóbki, pasterka itd. Rzeczywiście, takiej obfitości tradycji religijnych jak w Polsce nie ma nigdzie pod słońcem. Włosi i Hiszpanie mają żywszy kult świętych, ale nie ma u nich nawet w przybliżeniu takiego jak u nas bogactwa obrzędów i zwyczajów. Niemniej trudno byłoby stwierdzić z pewnością, czy jakikolwiek obrzęd lub zwyczaj chrześcijański jest naszym własnym, polskim wymysłem. Każdy bowiem jest kultywowany już to w jakimś innym kraju albo co najmniej w jego części. Groby Pańskie i żłóbki spotyka się we Włoszech, procesje Bożego Ciała obchodzone są bardzo uroczyście w Niemczech, pasterki chyba wszędzie na świecie. Podobno tylko rezurekcja jest polska. Ale przypuszczalnie pewne uroczystości i obrzędy, jak np. święcenie ziela, dzielenie się opłatkiem i in. istniały również gdzie indziej, lecz z czasem zanikły, a u nas zostały. Szczycimy się często, że figura Chrystusa Frasobliwego jest wymysłem polskiego ludu. Autor tych słów ze zdumieniem się przekonał, że w Bawarii obrazy i figury Chrystusa Frasobliwego znajdują się na każdym kroku (m. in. w kościele teatynów w Monachium).

Bez wątpienia jednak, w Polsce obrzędowość i obyczajowość chrześcijańska trafiły na nadzwyczajnie podatny grunt, Polacy zaś dumni być mogą z gorliwego obserwowania tych tradycji.

Autorka „Roku polskiego" głosi w swej książce pogląd, nie odosobniony zresztą, że Kościół w Polsce zetknął się z bardzo bogatym życiem obyczajowo-zwyczajowym pochodzenia słowiańskiego i że nawet wiele starych obrzędów otrzymało tylko nową treść, podczas gdy forma pozostała ta sama. Jest to pogląd bardzo prawdopodobny, ale trudno go udowodnić. Zamiłowanie do tradycji chrześcijańskich u ludu polskiego świadczy o naszym nieugiętym konserwatyzmie, uzasadnionym w części położeniem na rubieżach chrześcijaństwa. Ruś była bowiem odwiecznym korytarzem najazdów i podbojów.

Czy to możliwe, żeby nasze bujne zamiłowanie w pozachrześcijańskiej zwyczajowości, nasza przebogata saga legend, przypowieści, przysłów, przesądów i przyzwyczajeń, były dziedzictwem pogańskim?

O kulcie pogańskim na ziemiach polskich nie wiemy prawie nic. Mitologia słowiańska jest wynalazkiem pisarzy i marzycieli, a w pierwszym rzędzie Długosza, który po prostu Olimp grecko-rzymski przeniósł in corpore nad Wisłę. W świetle nowoczesnych badań zdaje się nie ulegać wątpliwości, że stan kapłański na ziemiach prapolskich, jak i całej zachodniej Słowiańszczyzny, był równocześnie administracją państwową, a jakiś bliżej nieokreślony kult był spoiwem szczepów. Być może, że Rugia była niegdyś pogańską Częstochową.

Wszystkie badania wskazują wszakże na jałowość, niepomysłowość mitologii naszych pogańskich przodków. Wykopaliska prehistoryczne nie mówią o religii niemal nic — poza kultem zmarłych. Słynne „baby kamienne" są dla nauki zagadką, a Światowid? Ten kamienny posążek wygląda trochę za fałszerstwo, podobnego typu jak człowiek z Piltdown czy różne kamienie runiczne, albo w dziedzinie literatury „Słowo o pułku Igora", albo szkockie ballady Macphersona. Z tradycjami pogańskimi i prasłowiańskimi trzeba więc bardzo ostrożnie, zwłaszcza że ogromna ilość rzekomo „odwiecznych" zwyczajów i przesądów jest nieraz bardzo niedawnego pochodzenia, pomysłem literatów, artystów, etnografów, a co gorsza, zwykle importem cudzoziemskim.

Omylna jest szczególnie etymologia. Nie ma absurdu, przed którym by się cofnęła tzw. etymologia ludowa (Wisła, — z gór „wyszła", Sandomierz — miejsce, gdzie San dom.erza do Wisły, Warszawa — pochodzi od imion rodzeństwa War i Sawa, Marzanna — od moru itp.). W „Roku polskim" ostrożnie, ale nie całkiem naukowo traktuje się różne takie wymysły. Marzanna np. nie jest żadną boginką moru, ale staropolską odmianą imienia Maria (istnieje po dziś dzień miejscowość Świętomarza).

Nazwy miesięcy nie są wcale tak starożytne. Ustaliły się na dobre pod koniec XVII wieku, ponieważ aż do tego czasu w języku kościelnym, urzędowo-dworskim, a nawet literackim używano nazw łacińskich, a łaciński marzec a także maj dotrwały nawet po dziś dzień (aczkolwiek etymologia ludowa marzec wywodzi od marzeń lub od wyżej wspomnianej Marzanny, a maj od majenia, rozmajania). Aż do tego czasu polskie nazwy miesięcy używane były tylko przez lud, przy czym w słownictwie kalendarzowym panował istny chaos. Styczeń nazywano także tyczniem, sieczniem, prosińcem i lutym, luty — strąpaczem, kwiecień — łżykwiatem i marcem, czerwiec — ugórnikiem i lipcem, lipiec — czerwcem i lipieniem, sierpień — stojęczeniem, wrześniem i listopadem, październik — winnikiem i listopadem, grudzień — prosińcem itd. (Por. Linde „Słownik", Brueckner „Encyklopedia staropolska"). Jeszcze w XIX wieku łacińskie nazwy miesięcy były w powszechnym użyciu inteligencji (por. listy Chopina).

Mnóstwo przysłów, pieśni rzekomo rdzennie ludowych, tańców, strojów — jak to kiedyś wykazał Jan St. Bystroń — jest pomysłu pisarzy i artystów. Zapomniane w powszechnym użyciu, a przechowane w jakiejś okolicy wśród ludu, wracają niekiedy po dłuższym czasie do dzieł sztuki jako „ludowe". Któż nie wie, że wiele znanych góralskich pieśni, m.in „Hej, idem w las" jest autorstwa Tetmajera, a jeszcze bardziej popularna „Na wysokiej cyrhli" (n. b. przez zakamieniałych „ceprów" śpiewana bez sensu „na wysokiej turni") jest tworem jakiegoś kawiarnianego żartownisia z Krakowa?

Zofia Kossak zebrała w „Roku polskim" z miłością i artyzmem bogatą kolekcję polskich zwyczajów, legend i przesądów, ale niesłusznie przydała im patyny rzekomo słowiańskiej i pogańskiej odwieczności, niby to potwierdzonej nauką. Niestety, nauka sporą część tych „prasłowiańskich" zwyczajów wywodzi z krajów Zachodu, w szczególności z Włoch i Niemiec. Gdyby nie Brueckner, skłonni bylibyśmy uważać dyngus za jakieś słowiańskie misterium oczyszczenia, zamiast — jak jest rzeczywiście — za naśladowanie niemieckiego zwyczaju. Nawet choinki nie chcę oddać Zofia Kossak Niemcom, wywodząc ją od „jodłki" u sufitu. A skąd pewność, że „jodłka" nie przyszła z Zachodu, skoro w takiej Anglii wiesza się na Boże Narodzenie ostrokrzew i jemiołę także u sufitu?

Najpiękniejsze strony „Roku polskiego", to opisy pracy i krajobrazu polskiego, następnie obrzędów religijnych, najsłabsze zaś, i, niestety, nie najmniej liczne, są ustępy o marzannach, południcach, dziwożonach, płanetnikach, topielcach, skrzatach, podciepkach, krasnoludkach. Czy naprawdę w XX wieku wieś polska była rezerwatem jakichś piekieł pogańskich? Czyżby lud nasz żył w jakimś zdziecinniałym a nieustannym lęku przed podmuchami wiatru, błyskawicami, deszczem, gradem i promieniami słońca? Czyżby wierzył w czarownice, zamawiania i uroki?

Owszem, zabobon nie obcy jest wsi polskiej, ponieważ zabobon, wiara w talizmany, znaki, cyfry itp. istnieje wszędzie, jak świat długi i szeroki. Ale jest to niezmiernie wąski margines życia duchowego, a wcale nie jego treść istotna. A już niewiele wspólnego posiada owo pandemonium z pogaństwem. Fala zabobonów zalała Polskę w XVII i XVIII wieku, a wynikła nie z pogaństwa, lecz ze złego pojmowania chrześcijaństwa. Jej najtragiczniejszą postacią było zabijanie w okrutny sposób „czarownic", jako rzekomo mających diabła. Światlejsze umysły walczyły z tym potwornym wynaturzeniem jak mogły (por. Bohomolca „Czary"), ale nie na wiele się to przydawało, skoro wyroki topienia, straszliwych tortur i stosu wydawały sądy i to sądy świeckie. Za czasów saskich przyszły do nas też wszystkie te skrzaty (niemiecki Schratt), z Rusi upiry i inne rzekomo prasłowiańskie paskudztwa.

Wieś bawi się jeszcze dziś południcami, dziwożonami i płanetnikami, ale mniej więcej w taki sam sposób, jak brać drukarska chochlikiem.

W ogóle zabobonny strach przed przyrodą nie jest cechą wsi, ale mieszczuchów. Człowiek żyjący z przyrodą nie może się jej bać, gdyż jest ona jego matką. Błyskawic i południc boją się wiejscy wycieczkowicze, duchów i upiorów panienki z pensji, tak samo zresztą jak przerażenie w nich budzą nietoperze, żaby, sowy, krowy, a nawet co tęższe koguty. Lud boi się tylko żywiołów i dlatego modli się do Boga najwspanialszą pieśnią chrześcijańską:

„Od powietrza, głodu, ognia i wojny
Zachowaj nas, Panie!"

Jan Bielatowicz

* * *

„ROK POLSKI" wyszedł nakładem Katolickiego Ośrodka Wydawniczego „Veritas" jako tom premiowy „Biblioteki Polskiej" za rok 1954/55. Poza 238 stronami tekstu zawiera 41 reprodukcji arcydzieł malarstwa polskiego oraz 24 rysunków i przerywników. Zdumiewająco bliskie naszym czasom wydają się rysunki Michała E. Andriollego, będące ciągle w lekceważeniu w świecie pięknoduchów.

STANISŁAW MŁODOŻENIEC

WIERSZE

W WOJNICZU

**W Wojniczu koło Brzeska
można było pomieszkać —
w traktyjerni zasobnej
potraktują osobę...**

**Gospodarz, świński kupiec —
każdemu tam się lubi:
w zasobnej traktyjerni
zawsze piwka są pewni.**

**Nie ma lepszych łakoci
nad to piwko „Okocim!"...
W Wojniczu koło Brzeska
siąpią je z antałeczka...**

**Świński kupiec, gospodarz —
moda im się podoba:
z antałka sobie życzą
w sławnym mieście Wojniczu...**

**Zdarzało się, że z kufli,
lecz z rachunków popuchli.
Raz — półkopek, to — kopa,
liczyć? — zgłoba i kłopot!...**

**W Wojniczu koło Brzeska
pijali z antałeczka.
W sławnym mieście Wojniczu
uczciwy był obyczaj...**

WIŚNICZ

**Na wzgórzu stanął klasztor;
na drugim — zamek w basztach;
u wzgórz miasteczko Wiśnicz
widokiem wisi ślicznym...**

**Kmitowie tutaj kiedyś
kęs żyznej żuli schedy;
nad tłum się pchali paniąt
buńczucznych łbów kompanią...**

**Ród Lubomirskich po nich
pysznością się ogromnił,
aż padł z Rzeczpospolitą.
Runęła pycha w litość...**

**Po paniąt ciężkich winach
szedł klasztor na kryminał,
zamczysko zaś jak upiór
fasadą patrzy trupią...**

**Niewoli lata idą,
spaskudniał śliczny widok;
kamienny rumor ciśnie —
żałością gniecie Wiśnicz...**

2.

**W miasteczku tkacz żył — Łukasz,
warsztatem ciągle stukał —
miał kuma on kowala
z imieniem dziwnym — Alojz.**

**Alojza Łukasz witał:
— „Wielmożny panie Kmita!..."
Łukasza ten przy wszystkich
zwał księciem Lubomirskim...**

**Nie głupio, że w tym śmiechu
z historii stał się grzechot:
pyszałków z piedestału
zwalili w żywą małość!...**

**Tkacz Łukasz, co miał humor,
z kowalem, miłym kumem,
przeszłości zimny kolor
z gorącą spięli dolą...**

**U krosien i kowadła
rzecz się rozniuła ładna:
w uporach ożył kamień —
ciepłymi gra farbami...**

**Pojaśniał stary klasztor,
wysmukłał zamek w basztach;
pod nimi miastko Wiśnicz
widokiem wisi ślicznym...**

Stanisław Młodożeniec

BICZE Z PIASKU

Dzieci na plażach budują zamki z piasku. Morze wsącza się w otaczające je fosy i kruszy gmachy piaskowe.

Ludzkość nad brzegiem mórz stawia wsie i miasta. Napór wód je burzy. Gra człowieka z morzem trwa odkąd Bóg ziemię od wód oddzielił i stała się sucha.

Człowiek poczuł się mocny. Na zamkach z piasku zatknął sztandary zwycięstwa. Wicher jednym podmuchem je zrywa. Gdy lądy znikają pod falą, gdy żar planety wybucha lawą i ziemię rozhuśta pod stopami, człowiek patrzy bezradny, jak dziecko patrzy na spłukane na plaży fortece.

Dzienniki i czasopisma wypełniły fotografie: latarnie morskie legły jak pnie ściętych dębów, fala na zalanych lotniskach niesie rozbite samoloty, podobne kadłubom wielorybów, setki przyczepek samochodowych ułożyły się na wybrzeżu, niby girlanda wyrzuconych przez przypływ muszli.

Moc ludzka?

Potrafi miliony więzić w obozach, skazując własny gatunek na powolną śmierć niewolników, umie na drugiej półkuli wytwarzać bajkowy dobrobyt, redukując człowieka do roli automatu obsługującego maszynę. Umie serią bomb, coraz doskonalszych, aż do wodorowej, skutecznie pomagać żywiołom w kruszeniu życia na powierzchni ziemi.

Czy umie kłaść tamę ich destrukcyjnej sile? Jeżeli zdoła, to na chwilę tak znikomą, że tylko nikła miara ludzkiego życia ją jako czas odczuwa. Ruiny dokonań praojców rozsiane po ziemi, zanim ogień, woda czy puszcza je całkowicie pochłoną, mówią dalszym pokoleniom nie tylko o chwale, ale i o znikomości ludzkich poczynań. Praca ludzkości jest zapobiegliwa jak praca mrowiska. Trud jej, skrzętnością lecz i nieświadomością celów, trud mrówek przypomina.

Służba maszynie, służba szybkości, służba coraz zawilszej ekonomii i państwu totalnemu, wyparła z myśli służbę Bogu, służbę przyszłości nie z tego świata: Wieczności.

Osią myślenia stały się mechaniczne konstrukcje. Przestawienie uwagi na konstrukcję duszy ludzkiej, kształtującej się w ciągłym wyborze między dobrem a złem, zwróciłoby ją do sprawy przekraczającej zdolności mrowiska, lecz zgodnej z ludzkim przeznaczeniem: wprzęgłoby w służbę wzajemną trwalszą niż byt ziemski, określoną przez Kościół: Świętych Obcowanie.

T. Skórzewska

WIECZORY TEATRALNE

Conrad w przeróbce

Na afiszu i w programie Conradowskiego wieczoru grupy „Pro Arte" umieszczono słowa: „przy współudziale Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie i Klubu Miłośników Conrada". Zaszczyt to niemały dla grupy „Pro Arte", mały dla Związku Pisarzy i Klubu Miłośników Conrada. Grupa „Pro Arte", amatorski zespół sceniczny, pracujący pod opieką Koła Stowarzyszenia Polskich Kombatantów nr 30, mierzy siły na zamiary. Po inscenizacji Conrada zapowiada ni mniej ni więcej tylko Lorkę, Claudela, Anouilha, Mikołaja z Wilkowiecka, Słowackiego. Trudno wyżej, trudno pewniej siebie.

Powołanie do życia i praca zespołu „Pro Arte" są godne najwyższej pochwały. Gdyby aktorzy tej miłej i ofiarnej grupy niczego więcej nie wystawili, tylko sami stanęli szeregiem na rampie sceny, już za to samo by się im należały gorące oklaski. Ale jak sztukę pisania trzeba zaczynać od stawiania kresek i kropek, grę na fortepianie od gam, rzemiosło wojskowe od postawy zasadniczej, tak sztukę aktorską od Anczyca, jednoaktówek Fredry, od Bałuckiego. Nie zaś od Anouilha i Conrada! W przeciwnym razie dzieje się to, co się stało niedawno w londyńskim „Ognisku".

Nie jest to wina młodych entuzjastów. Pokazali to, czego ich nauczono. Wina spada w pierwszym rzędzie na kierowniczkę zespołu, w drugim na zarząd Związku Pisarzy, że dopuścił do wystawienia podobnej rzeczy i dał jej patronat. Dr Tymon Terlecki wygłosił przed premierą kulturalną prelekcję. Chyba jednak nie widział przedtem „Frei" w próbach. Terlecki jest równocześnie pisarzem i działaczem, a w obecnej chwili spełnia wybitną rolę kulturalną na emigracji. Niechaj mi więc będzie wolno zwrócić się do niego z przestrogą, że społecznikowska tolerancja bywa czasem groźną dla poziomu kultury.

Na wieczór Conradowski „Pro Arte" złożyły się dwie rzeczy: przeróbka na scenę opowieści „Freja z Siedmiu Wysp" i jednoaktówka „Jutro". Opowiadanie „One Day More" przerobił na scenę sam Conrad. Przeróbkę tę przełożył umiejętnie Wojciech Gniatczyński. Jest to rzecz mało sceniczna, po prostu opowiadanie na głosy. „Jutro" zagrał zespół „Pro Arte" poprawnie, a nawet dobrze, a to dlatego, że wykonawcy nie grali, lecz zwyczajnie mówili tekst. Jeśli to był świadomy zamiar reżyserski, to brawo, aczkolwiek hałaśliwe wrzaski starego Carvila i Hagberda świadczyć by mogły o pokusie rozbujania spokojnego (choć głęboko tragicznego) obrazka scenicznego.

Tak czy owak, Irena Różycka jako panna Carvil i Bogdan Doliński jako Harry nie dali się zbić z tropu: pięknie i z doskonałym zrozumieniem mówili tekst Conrada.

Natomiast z „Freją" działy się rzeczy niezwykłe. Było to wspólne dzieło trzech osób: opowieść Conrada, dość poczciwie i nieporadnie przełożoną przez Anielę Zagórską, przerobiła na scenę p. Olga Żeromska. Ponieważ p. Żeromska równocześnie reżyserowała swoją przeróbkę, jej wkład we „Freję" przytłaczał tamtych dwoje.

Adaptatorka starannie wyłuskała wszystkie dialogi z przekładu Zagórskiej. Dodała do tego własne koncepty, dość wątpliwej wartości artystycznej. Np. uderzony w twarz przez Freję Heemskirk u Zagórskiej (i Conrada) „wydał słaby, ochrypły krzyk", a kiedy nadszedł stary Nielsen „syczał przez zęby przekleństwa". U Żeromskiej kapitan holenderski używa języka dozorców z Nalewek, miotając gromkie przekleństwo: „sakramencka cholera" i wrzeszcząc do Nielsena: „odwal się pan!" Już te dwie perły języka i stylu mogłyby zamordować najwznioślejszy utwór Conrada i świadczą, że miłość twórczości Conrada nie zawsze idzie w parze z rozumieniem jej ducha. Gdyby Conrad nie był taki w swych tekstach powściągliwy jak jest, jego oficer mógłby w najgorszym razie przeklinać od psich krwi i wszystkich diabłów. Ale żeby od... Brr!

Nie lepiej było z reżyserią. Aktorów trzeba uczyć najpierw poprawnie mówić, po wtóre opanowywać wiatraki rąk, kloce nóg i młynki języków. Z kolei idzie gest, co nie oznacza żywiołowego machania czym się da. Dykcja jest najsłabszą stroną zespołu „Pro Arte". Oczywiście także modulacja głosu, jeden z najważniejszych elementów gry na scenie. Freja w wykonaniu panny Górniakówny śmieje się w jednej z odsłon kilkanaście razy po kolei, jakby pozytywka nakręcona na jeden, piskliwy ton. Czarodziej głosu, jakim w opowieści Conrada jest Schultz, ni to jęczy ni to beczy w interpretacji K. Kudlickiego. Naładowany akumulator młodości iskrzy na scenie najdziwaczniejszymi okrzykami, przytupywaniem, piruetami, co chwila ktoś o coś zawadza, stoły się chwieją, szklanki lecą na podłogę, kurtyna jeździ tam i sam wraz z aktorami. Jeden tylko Michał Kiersnowski jako Jasper Allen umie poruszać się po scenie.

Do tego dochodzą różne drobne niedbalstwa. Heemskirk miał zwyczaj u Conrada i u Żeromskiej wpatrywać się w swe buty. Widz, oczywiście, idzie za wzrokiem aktora. I otóż aktor — leń skończony albo zmarzluch — na swoje zwykłe spodnie ma naciągnięty biały uniform marynarski, a czarne inekspryinable wyją spod spodu, co trąci groteską. Białe pantofle marynarzy dobyto chyba ze składu węgla. Urocza służąca Antonia przykuwa niepotrzebnie wzrok hawajskim negliżem. Do ginu używają bohaterowie... wermutu Martini z ocechowanej nowocześnie butelki. A przecież u Conrada jest odpowiednia wskazówka o „kropelkach" i „gorzkiej wódce". Chodzi, rzecz jasna, o angosturę. Wermut z wódką, to całkiem inna historia.

Trudno przy tym wszystkim wymagać jeszcze jakiejś koncepcji reżyserskiej. Sprawcą tragedii, złym duchem „Frei z Siedmiu Wysp" jest tchórzliwy ojciec, który w ujęciu „Pro Arte" wyszedł na poczciwego safandułę, pobudzając raczej litość, przez co zburzył cały sens żeby tak rzec morału Conradowskiego. W ogóle „przeróbki" i „dalsze ciągi" klasyków nie prowadzą do niczego, nawet jeśli pochodzą spod wybitnych piór. Porywanie się na przeróbkę Conrada pióra mniej świetnego odpowiada wyprawie z motyką na słońce.

Jest jakiś niewłaściwy ton w przywłaszczaniu sobie pisarzy, w stawaniu przy nich za pan brat, jak to p. Olga Żeromska uczyniła w swoim, zresztą interesującym, referacie, poprzedzającym inscenizację. Oto oświadczyła w imieniu swego pokolenia, że był on dla niego jedynym pisarzem, który miał coś temu pokoleniu do powiedzenia. Ograniczać inspirację pokolenia do jednego pisarza — to wielka prostoduszność, przemawiać w imieniu pokolenia — to duża śmiałość, a zabierać Conrada innym pokoleniom — to nic innego, tylko pomniejszać Conrada.

J. B.

MUZYKA

Szymanowski w trzecim programie

Podkreślaliśmy już parokrotnie, jak niesłusznie pomijane są w programach muzycznych BBC utwory Feliksa Janiewicza, kompozytora polskiego niepośledniej miary, który z górą pół wieku temu osiedlił się w Wielkiej Brytanii, tu tworzył swoje kompozycje muzyczne, kładąc równocześnie duże zasługi dokoła organizacji życia muzycznego zarówno w Londynie, jak Edynburgu. Zainteresował się tą twórczością Andrzej Panufnik, przerabiając i dostosowując do wykonania orkiestrowego jedną z kompozycji Janiewicza. Panufnik dyrygował jej wykonaniem na koncercie w Albert Hallu, kilka miesięcy temu, kiedy występował na estradzie wraz z Witoldem Małcużyńskim. O Janiewiczu jednak w dalszym ciągu głucho.

W r. ub. mieliśmy w BBC koncert muzyki Szymanowskiego, a w dniach 10 i 13 marca r.b. nadawana była w Trzecim Programie jego opera „Król Roger". W związku z tym tygodnik „The Listener" ogłosił artykuł Donalda Mitchella o operach Szymanowskiego. W pierwszym okresie swej twórczości — wywodzi Mitchell — Szymanowski był w dużym stopniu pod wpływem ówczesnej „nowej" szkoły niemieckiej, w szczególności Ryszarda Straussa. W okresie następnym wyzbył się swych powiązań z muzyką teutońską i uległ łącznemu wpływowi impresjonizmu francuskiego i muzyki orientalnej. W okresie trzecim sztukę swą zasilał z muzycznej skarbnicy ludu polskiego.

Druga z oper Szymanowskiego, „Król Roger", rozpoczęta w r. 1920, ukończona została w r. 1924, kiedy kompozytor znajdował się w środku swego drugiego okresu i jego sympatie niemieckie miarkowane były przez entuzjazm dla rzeczy francuskich. Na wybór tematu wpływ wywarły ówczesne zainteresowania Szymanowskiego muzyką orientalną i mistycyzmem. Tło opery stanowi dwór króla Rogera II, władcy Sycylii w XII wieku, który, choć sam łaciński chrześcijanin, rządzi państwem pół-bizantyńskim, pół-orientalnym. Postacią centralną opery jest pasterz-prorok, głoszący kult piękna.

W operze — zdaniem Mitchella — zarysowują się dwa konflikty: konflikt między chrześcijaństwem (król Roger) a pogaństwem (pasterz) oraz między zachodnim i wschodnim sposobem myślenia. Szymanowski — pisze Mitchell — wyrósł jako kulturalny, kosmopolityczny arystokrata polski; w miarę dojrzewania stawał się skłonny do porzucenia kultury zachodniej i spoglądania ku wschodowi. W ostatnim swym „narodowym" okresie Szymanowski doszedł do bardzo wysokiego mniemania o tradycyjnej słowiańskiej kulturze muzycznej, co się stać miało drogą studiowania muzyki orientalnej i ujawnienia w ten sposób wspólnego obu tym muzycznym kulturom gruntu.

Oczywiście, ta teza Mitchella — w artykule napisanym skądinąd z dużą wytrawnością krytyczną — nasuwać musi bardzo krytyczne refleksje. Twórczość Chopina wyrosła wszak w wielkiej mierze z twórczości muzycznej ludu polskiego, a trudno chyba wykryć w niej jakieś pokrewieństwa z muzyką orientalną. Musi też budzić wątpliwości ta — tak często powtarzająca się na Zachodzie — tendencja do lokowania przejawów kultury polskiej w jakimś „tyglu" ogólno-słowiańskim o wschodniej raczej proweniencji. Już Conrada-Korzeniowskiego bardzo tego rodzaju uogólnienia irytowały.

ŻYCIE

KATOLICKI TYGODNIK RELIGIJNO-KULTURALNY

NIEDZIELA, 17 kwietnia 1955.

KOMITET OBCHODU ROKU MICKIEWICZOWSKIEGO POWSTAŁ W LONDYNIE

W dniu 21 marca br. odbyło się w Domu Kombatanta w Londynie organizacyjne zebranie w sprawie uczczenia 100 rocznicy śmierci Adama Mickiewicza, przypadającej w listopadzie 1955 roku.

Na zebranie, zwołane z inicjatywy Związku Pisarzy Polskich na Obczyźnie, Polskiego Towarzystwa Naukowego na Obczyźnie i Stowarzyszenia Polskich Kombatantów, przybyli przedstawiciele duchowieństwa, centralnych organizacji społecznych, instytucji i stowarzyszeń zajmujących się sprawami oświaty i kultury, przedstawiciele prasy i radia.

Zebranie zagaił prezes zarządu głównego SPK Stefan Soboniewski.

W wyniku narad zebrani postanowili powołać do życia Komitet Obchodu Roku Mickiewiczowskiego na Obczyźnie. Na przewodniczącego powołano dr. Tymona Terleckiego, na sekretarza Stefana Soboniewskiego. Dr Mieczysław Giergielewicz został kierownikiem sekcji wielkobrytyjskiej.

Do Komitetu wchodzą ponadto przedstawiciele duchowieństwa wszystkich wyznań, organizacji społecznych, instytucji oświatowych, prasy oraz przewodniczący sekcji: prasowej — Bolesław Wierzbiański, radiowej — Witold Leitgeber, widowiskowej — dr Leopold Kielanowski, finansowej — dr Karol Poznański, wystawowej — płk Tomasz Rybotycki, akcji wśród młodzieży — harcmistrz Jan Prokop, łączności z organizacjami cudzoziemskimi — Stanisław Grocholski, odczytowej — dr Zofia Kasprzycka, zbiórki na fundusz stypendialny im. Adama Mickiewicza dr Adam Szczypiorski.

WYDAWNICTWA

W związku z setną rocznicą śmierci Mickiewicza, wedle wiadomości, którymi dysponuje Komitet, zapowiedziano wydanie na emigracji następujących prac:

1) **Księgę Mickiewiczowską** przygotowuje od dłuższego czasu Polskie Towarzystwo Naukowe na Obczyźnie. Redaguje ją komitet, mający swoich przedstawicieli: w Stanach Zjednoczonych (prof. dr Wacław Lednicki, prof. dr Wiktor Weintraub), we Francji (prof. dr Z. L. Zaleski, dr Czesław Chowaniec) i w W. Brytanii (prof. dr Stanisław Stroński — przewodniczący, dr Mieczysław Giergielewicz, sekretarz, prof. dr Władysław Folkierski, prof. dr gen. Marian Kukiel, mgr Maria Danilewiczowa, dr Tymon Terlecki).

Książka ukaże się w roku 1956 i zawierać będzie przekłady dzieł Mickiewicza i prace naukowe w 4 językach: polskim, francuskim, angielskim i włoskim; możliwe jest również włączenie prac w języku hiszpańskim.

2) **Mickiewicz and the World** (Mickiewicz i świat) jest w przygotowaniu w Stanach Zjednoczonych pod redakcją prof. Wacława Lednickiego. Celem tej publikacji będzie przedstawienie znaczenia dzieł Mickiewicza w różnych krajach świata.

3) **Young Mickiewicz** (Młody Mickiewicz), praca w języku angielskim, zawierająca biograficzno - krytyczne studium o Mickiewiczu pióra pani Marion Coleman, ukaże się w czerwcu 1955 r. Objętość około 400 stron druku z licznymi ilustracjami.

4) **Mickiewicz in English** (Mickiewicz po angielsku), bibliografia wszystkich przekładów utworów poety i prac o nim w języku angielskim, wydana w grudniu 1954 r. przez Marion Coleman.

5) **Mickiewicz żywy** — praca zbiorowa 30 pisarzy emigracyjnych pod redakcją Herminii Naglerowej oddana jest do druku i ukaże się w lecie nakładem Księgarni Bolesława Świderskiego. Przeznaczona do szerokiego rozpowszechnienia, zawierać będzie wiersze, wspomnienia, szkice literackie.

6) **O Adamie Mickiewiczu** — zbiór materiałów do organizowania obchodów Mickiewiczowskich ukaże się w lecie 1955 r. nakładem Stowarzyszenia Polskich Kombatantów i zawierać będzie prace: Zygmunta Nowakowskiego, Tymona Terleckiego, Jana Bielatowicza, Marii Czapskiej, Marii Danilewiczowej, wybór poezji i prozy Mickiewicza, pieśni do słów poety, bibliografię.

7) Stowarzyszenie Polskich Kombatantów przygotowuje wydanie **materiałów obchodowych o Mickiewiczu** dla młodzieży w opracowaniu Jana Bielatowicza.

8) Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" przygotowuje na jesień roku 1955 wydawnictwo **pism poetyckich Mickiewicza** w jednym tomie (bez „Pana Tadeusza") Książka ta, licząca około 800 stron, wyjdzie jako tom premiowy „Biblioteki Polskiej".

9) **Między Niemnem a Dźwiną**. Książka Tadeusza Łopalewskiego, uzupełniona na emigracji przez Antoniego Bogusławskiego, wydawnictwo jubileuszowe Księgarni Tern (Rybitwa) w Londynie, znajduje się w druku i ukaże się w maju 1955. Jest to monografia o ziemiach wileńskiej, grodzieńskiej i nowogródzkiej z 250 rycinami z cyklu „Cuda Polski"

10) **Sonety krymskie** — wydawnictwo bibliofilskie, planuje Oficyna Poetów i Malarzy w Londynie.

11) Katolicki Ośrodek Wydawniczy „Veritas" w serii wydawnictw dla dzieci wydawanych wraz z Polską Macierzą Szkolną przygotowuje **książeczkę o Mickiewiczu.**

12) **The Poetry of Mickiewicz** prof. dr. Wiktora Weintrauba ukazała się niedawno w Stanach Zjednoczonych.

Ponadto są gotowe dwie antologie mickiewiczowskie: w języku angielskim w opracowaniu Kenneth Mackenzie oraz francuskim w przekładach Mariana Pankowskiego z przedmową wybitnego polonisty belgijskiego prof. Claude Backvisa. Prace te jednak mogłyby się ukazać tylko w tym wypadku, gdyby się znalazły fundusze na ich wydanie.

IMPREZY I KONKURSY

1) Wystawa Mickiewiczowska połączona z wystawą książki polskiej na emigracji od 1830 - 1955 odbędzie się w jesieni 1955 r. w Londynie. Organizuje Towarzystwo Przyjaciół Pisarza.

2) Konkurs Mickiewiczowski dla młodych na wiersz, opowiadanie, wspomnienie lub szkic, określający stosunek do osobowości i dzieła Mickiewicza. Organizuje Związek Pisarzy Polskich na Obczyźnie.

3) Dla uczczenia setnej rocznicy śmierci Mickiewicza Związek Artystów Scen Polskich w Londynie organizuje konkurs na utwór dramatyczny.

Z SAL ODCZYTOWYCH

MICKIEWICZ MIĘDZY WSCHODEM I ZACHODEM

W ramach t.zw. wieczorów piątkowych, stale urządzanych w Hospicjum św. Stanisława przez londyński Oddział PKSU „Veritas", w piątek dn. 13. 3. mówił prof. W. Folkierski na temat: „Mickiewicz między Wschodem i Zachodem".

W interesującym ujętym wykładzie rzucił znakomity prelegent wiele nowego światła na zagadnienie szczególnie aktualne w chwili, gdy zarówno na emigracji jak i w Kraju przygotowuje się obchód rocznicy zgonu wielkiego poety i ukazał nam Mickiewicza od strony na ogół mało znanej.

Wskazując na powiązania Filomatów i Filaretów a szczególnie Promienistych z masonerią rosyjską i na niewątpliwy wpływ „Przyjaciół Moskali" na naszego wielkiego poetę, zatrzymał się prof. Folkierski dłużej na fatalnym dla Mickiewicza wpływie Towiańskiego, o którym wszystko dziś świadczy, że był agentem rosyjskim. Okres towiańszczyzny był okresem prawdziwej niewoli duchowej dla Mickiewicza, z której się ostatecznie wyrwał, ale — rzecz to znamienna, w tym okresie właściwie skończyła się jego wielka twórczość. Nawet jednak w tej niewoli i w tych tragicznych zmaganiach się z sobą uderza nas wielkość ducha Mickiewicza, który w swym dziele twórczym pozostał zawsze wielkim poetą świata zachodniego i który swą twórczością wywarł tak znaczny wpływ zarówno na Zachodzie jak i na Wschodzie.

Przy swej żarliwej wierze i mocnym przywiązaniu do Kościoła był Mickiewicz skłonny do heterodoksyjnej mistyki, gdyż przypuszczalnie brakło mu podstaw i dyscypliny katolickiej doktryny.

To splatanie się pierwiastków wschodnich i zachodnich u Mickiewicza ukazuje nam zarazem jak dalece te wpływy splatały się i mieszały w kulturze naszego narodu i jak ostatecznie decydowały i zwyciężały wpływy Zachodu. Należy o tym pamiętać szczególnie w chwili obecnej, gdy z okazji 100 rocznicy zgonu Mickiewicza komuniści będą próbowali przedstawić Mickiewicza jako rewolucjonistę typu rosyjskiego.

KRONIKA

Z DZIAŁALNOŚCI P. K. S. U. „VERITAS"

KRUCJATA MIŁOSIERDZIA

PKSU „Veritas" — Koło w Genewie organizuje w dniach 16 i 17 kwietnia 1955 roku Krucjatę Miłosierdzia przeciw oziębłości religijnej. Krucjata ma być poświęcona cudownym objawieniom skromnej siostry polskiej, Siostry Faustyny, której ukazywał się Chrystus Pan i polecił rozpowszechniać specjalne nabożeństwo do Jego Miłościwego Serca.

„...Pragnę — rzekł Chrystus — aby święto Miłosierdzia było ucieczką i schronieniem dla wszystkich dusz, a przynajmniej dla biednych grzeszników." „...Niech się nie lęka do mnie zbliżyć żadna dusza, chociażby jej grzechy były jak szkarłat..."

Nadto Chrystus zapowiedział, że świat nie zazna prawdziwego pokoju, dopóki nie zaufa Jego miłosiernemu Sercu...

◆ ◆ ◆

Wszystkie Koła PKSU „Veritas" otrzymały zaproszenie i program Krucjaty. Do Kół szwajcarskich zaapelowano specjalnie o wzięcie udziału w tym pierwszym święcie Miłosierdzia Bożego obchodzonym przez Polaków w Szwajcarii.

Ponieważ Kościół nie wypowiedział się jeszcze oficjalnie co do tych objawień i co do samego urządzenia święta, Krucjata ma charakter wyłącznie prywatny i nie przesądza orzeczeń Kościoła.

◆ ◆ ◆

Z ŻYCIA PEN-CLUBU NA UCHODŹSTWIE

Biuletyn PEN-Klubowy nr 13 datowany listopad 1954 — styczeń 1955, zawiera sprawozdanie z walnego zebrania, które odbyło się 7 grudnia ub. r., następnie artykuł ku uczczeniu pamięci poety łotewskiego Janis Rainisa; uwagi o stylu pisarskim Marka Ałdanowa, zestawienie imprez Klubu, które miały miejsce od października ub. roku do chwili obecnej oraz projektowanych po maj włącznie; dalej omówienie akcji propagandowej i głosów prasy o wydawnictwie własnym Klubu: „The Pen in Exile", sprawozdanie ze zjazdu pisarzy sowieckich (na podstawie materiałów z „Manchester Guardian") oraz zestawienie ostatnich publikacji członków PEN-Clubu in Exile.

Wybory grudniowe powołały nowy zarząd złożony z 5 Polaków, 2 Rosjan, Estończyka, 2 Łotyszów, 2 Czechosłowaków i Węgra. Ta przewaga Polaków tłumaczy się większą ilością Polaków w W. Brytanii w stosunku do innych narodowości, jak też tym, że Maria Kuncewiczowa jest członkiem zarządu ex officio jako założycielka PEN-Clubu in Exile. Wśród polskich członków zarządu nastąpiła zmiana w jednym tylko wypadku a mianowicie ustąpił Stanisław Baliński a na jego miejsce wybrano Z. A. Grabowskiego, inne stanowiska pozostały bez zmian. W ciągu 1954 roku przyjęto 5 nowych członków w tym Estończyka i 4 Węgrów.

Imprezy PEN-Clubowe to: odczytanie dramatu Paul Tabori'ego (który pełni funkcję przewodniczącego) pt. „Tamar", obiad wydany na cześć pisarzy: Charles Morgan, Margaret Storm Jameson, Vera Brittain i David Carver, odczyt George Mikes'a „Zawód humorysty", obiad poprzedzający doroczne walne zebranie, trust mózgów z tematem: „Przyszłość powieści" przy udziale pisarzy: Maria Kuncewicz, Z. A. Grabowski, Paul Tabori, A. Wilson i W. Cooper, wieczór łotewski, odczytanie sztuki V. Lariny: „Pragnienie serca". W kwietniu odbędzie się „Wieczór polskiej literatury", zaś w maju odczytane będą prace z „Antologii czeskiej literatury" (z lat 1914-1950) zorganizowane przez D. Kratochwila.

L. S.

LISTY DO REDAKCJI

CZY LICENTIA POETICA?

Bezpretensonalny obrazek jakim jest „Zlecenie" stał się po raz drugi przedmiotem dyskusji. Po uwagach dr. W. Jelonka, na które odpowiedziałam, (ŻYCIE nr 7), zabrał głos ks. dr Lisowski, autor dzieła „Kanonizacja św. Stanisława", stawiając mi szereg zarzutów. (ŻYCIE nr 11).

Z wywodów niezupełnie jasno sprecyzowanych można wywnioskować, że popełniłam błędy następujące:

1. Odnawianie legendzie autorytetu prawdy historycznej, imputowanie takiegoż poglądu Czcigodnemu Autorowi.

2. „Aplikowanie licencji poetyckiej" przez „mnożenie ilości objawień" i stawianie niemożliwej do wytłumaczenia daty.

3. Bezpodstawne uczynienie zmarłego biskupa wujem rycerza Falisława.

4. Uznanie tłumaczenia łacińskiego **miles** na żołnierz za niewłaściwe, tak niewłaściwe, że aż podkreślone wykrzyknikiem.

5. Uchylanie się od podawania ścisłej prawdy historycznej. Przeinaczenie klimatu duchowego opowieści.

Zarzuty, jak widzimy, liczne i poważne. Rozpatrzmy je po kolei.

1. Na ten zarzut Czcigodny Autor sam częściowo odpowiedział, pisząc; „...słowo legenda oznaczało w średniowieczu to, co należało czytać. Naturalnie, że treściowo takie czytania zawierały szczegóły prawdziwe i historyczne, jak i inne mniej autentyczne, a mające na celu wzbudzenie w słuchaczach myśli pobożnych i wzniosłych".

Moja definicja legendy zamieszczona w odpowiedzi dr. Jelonkowi, brzmiała jak następuje:

„...Legenda powstaje na tle faktów historycznych, lecz samą historią nie jest. Anegdotyczne szczegóły legendy rzadko miewają dokumentarne znaczenie, choć przechowuje się w nich echo zdarzeń".

Nie widzę by pomiędzy tymi dwoma określeniami istniała zasadnicza różnica. Zbędne byłoby też dowodzić, że relacja zawierająca omal programowo pierwiastki „mniej autentyczne" nie może być uważana za autorytet historyczny.

Imputowałam rzeczywiście, acz w najlepszej wierze, ks. dr. Lisowskiemu poglądy podobne do wyżej podanego twierdzenia. Wobec sprzeciwu z jego strony („ta imputacja nie bardzo mi w smak") cofam moje przypuszczenie.

A zatem skoro Czcigodny Autor zaprzecza jakoby pojawienie się ducha zmarłego biskupa Wisława było legendą, należy wnosić, że uważa je za fakt historyczny. Tertium non datur. Albo prawda niewątpliwa, albo legenda, czyli prawda stylizowana, podbarwiona dydaktyzmem lub poezją. Lecz pod koniec artykułu czytamy:

„...nie chodzi tu o zjawienie się biskupa Wisława rycerzowi-żołnierzowi, czego osobiście nie poddawałem osądowi autentyczności, lub nie. Podałem je za autorem Żywotu Większego. Mogę jednak dodać, że to zjawienie niejest umieszczone w zwoju krakowskim zawierającym sądowy opis cudów.

...Nie można jednak powiedzieć, że nie jest ono historycznie prawdziwe; raczej mając na uwadze rezerwę z jaką autor pisze Żywot Większy, powiedzieć wypada, iż takie objawienie istotnie mogło być i to w takiej formie, w jakiej jest przez autora Żywotu podane, a w takim wypadku określanie tego faktu jako „legendy" nie byłoby właściwe."

Jeżeli obrońca danej wersji mówi, że podany przez niego fakt „mógł mieć miejsce", przyznaje tym samym, że mógł również nie mieć miejsca. Określenie „mógł być" odbiega daleko od krótkiego, stanowczego „był". Wynikałoby stąd, że Czcigodny Autor nie uważa pojawienia się biskupa Wisława za fakt bezsporny, przy czym z godną uznania lojalnością stwierdza, iż zwój krakowski podaje odmienną wersję tego samego zdarzenia. Jak w takim razie pragnie zakwalifikować wypadek, nie będący w jego mniemaniu ani faktem historycznym, ani legendą?"

Idźmy dalej.

2. Odpowiadając na zarzuty dr. Jelonka, zaznaczyłam, że nie czytałam dzieła ks. dr. J. Lisowskiego. Nie wątpię, że jest to praca wnikliwa, wykorzystująca zapewne nowe opracowania, lub nieznane mi dokumenty. To by wyjaśniało uparte pomijanie przez Czcigodnego Autora dzieła Długosza „Żywot św. Stanisława", które to dzieło, ze względu na zawarte w nim odpisy zasadniczych dokumentów kanonizacyjnych, jest ogólnie uważane za klasyczne i dla danego tematu nie zastąpione, a którym posiłkowałam się przy pisaniu „Zlecenia".

Między opisem Długosza a uwagami Czcigodnego Autora zachodzą różnice. Według kanonika krakowskiego, przeniesienie zwłok św. Stanisława do katedry i złożenie ich w kamiennej tumbie umieszczonej pośrodku kościoła, miało miejsce już w 1088 r. (Widzenie Świętosławy, wspomniane w „Zleceniu"). Zmarłego biskupa Wisława widziano, — zdaniem Długosza, — wiele razy. Oprócz rycerza Falisława, wymienia on wojewodę Pełkę, mieszczkę Adelajdę, kustosza Trojana i skórnika Świantosława ze Sławkowa. Listę tych osób kończy słowami: „oraz mnóstwo innych zjawień, które opuszczę, abym nie znudził czytelnika".

Co do niepokojącej Czcigodnego Autora daty 1249, jako roku rozpoczęcia starań o kanonizację, podałam ją na podstawie listu kardynała Gaetano do biskupa Prandoty, — przytoczonego przez Długosza.

Tak więc moja rzekoma „licencja poetycka" wsparta była o poważne i powszechnie znane źródło.

3. Zarówno w księstwie krakowskim, jak w innych dzielnicach Polski, rody rycerskie były między sobą gęsto spokrewnione i spowinowacone. Związki rodzinne posiadały znacznie większą wagę niż obecnie i posiadały szerszy zasięg. Nawet do dalekich krewnych matki mówiono: wuju. (Zwyczaj ten zachował się w niektórych okolicach Polski wśród ludu). W założeniu, że Falisław miał prawo mówić o zmarłym biskupie jako o wuju, nie ma nic nieprawdopodobnego, albo rażącego.

4. Przykro mi, że wykrzyknik dotknął Czcigodnego Autora. Łacińskie słowo miles oznacza równie dobrze żołnierza, jak wojaka; interpretując jednak epokę odległą należy liczyć się z jej pojęciami i duchem ówczesnego języka. Słowo żołnierz pochodzi od żołdu i weszło w użycie gdy najemnym lub poborowym żołnierzom zaczęto wypłacać żołd.

Natomiast nie widzę powodu, dla którego Czcigodny Autor nazywa Falisława „rycerzem-żołnierzem", zaznaczając przytem, że miles nie oznacza rycerza. Oczywiście, że nie oznacza. Falisław był nobilem, zatem rycerzem.

5. Wyraźna ironia przebija ze słów Autora:

...„poeta-pisarz ma swoje prawa, których my, zwyczajni zjadacze chleba nie rozumiemy, albo nie chcemy rozumieć, pragnąc nałożyć mu obowiązek nie tylko podawania pewnej treści w podziw budzącej formie, ale nadto podawania ścisłej prawdy historycznej".

Ironia nie jest dobrą bronią. Bywa często bumerangiem. Ale ja jej nie użyję. Zapewnię tylko Czcigodnego Oponenta, że pisarz katolicki rozumiejący ciążącą na nim odpowiedzialność uważa sobie za obowiązek służenie Prawdzie. Obowiązek ten nabiera szczególniejszego znaczenia przy tematyce historycznej. Nie znaczy to jednak, że pisarz ma powtarzać bezkrytycznie opinie, i poglądy sprzed kilkuset laty. Zadaniem jego jest przeszłość wskrzesić i ożywić, odnaleźć prawdziwy sens zdarzeń nieraz głęboko ukryty lub zniekształcony i ukazać go czytelnikowi. Jeżeli o mnie chodzi, mogę Czcigodnego Autora zapewnić z całą powagą, że w ciągu upływających 33 lat mojej pracy pisarskiej, nie przestałam nigdy troszczyć się o zgodność jej z prawdą historyczną i autorytatywną opinią Kościoła. I nie zdaje mi się, bym kiedykolwiek świadomie tym dwom zasadniczym postulatom uchybiła.

Jeszcze parę słów o „przeinaczeniu".

Mamy prawo po ludzku podchodzić do Świętych, uwalniać ich rysy z maski naiwnego schematu nałożonego przez pobożnych hagiografów średniowiecza. Ta maska sprawiła, że ten lub ów Święty utożsamił się dla wiernych z relikwiarzem przechowującym jego doczesne szczątki. Równie starożytny, zabytkowy, godny poszanowania i — daleki. Tak nie powinno być! Święci są wciąż żywi i wciąż aktualni. Ich siła nie zgasła, ich pomoc jest nadal skuteczna. Ale musimy ich znać. Nie uchybiamy Świętemu wyjmując go ze złoconej niszy po to, by dojrzeć w nim brata.

Kościół zachęca nas do tego gestu, który niejednemu zdaje się zuchwalstwem. Wielkie dzieło Bollandystów rozpoczęte w XVII wieku, poddające naukowemu badaniu żywoty Świętych, wskazuje drogę którą możemy kroczyć. W miarę postępu nauki Bollandyści nie wahają się dokonywać ponownej rewizji żywotów, już przez nich uprzednio sprawdzanych. Z tych poszukiwań, z tej pracy, wybłyska coraz wspanialej chwała Boga w Świętych Jego.

Miło mi było przeczytać, że Czcigodny Autor pochwala „Zlecenie" za wzmiankę dotyczącą charakteru sądowego przewodu procesu kanonizacyjnego. Trudno mi jednak przyjąć tę pochwałę. Toż to rzecz zasadnicza, szeroko znana, nie budząca w nikim wątpliwości.

Ufam, że niniejsza odpowiedź wyczerpuje temat. Nie radabym sporu przeciągać. Dzieje kanonizacji św. Stanisława miały przebieg niezwykle dramatyczny (do tej sprawy mam nadzieję powrócić niebawem, lecz nie w formie polemiki) i boli mnie, że w obliczu epopei narodowej, w której wzięło udział bezpośrednio Niebo, toczyliśmy długą i drobiazgową dyskusję o rzecz tak błahą jak to, czy duch biskupa Wisława ukazał się pośmiertnie jednej osobie, czy kilku osobom.

Proszę przyjąć wyrazy szacunku.

Zofia Kossak

◆ ◆ ◆

INSTYTUT POLSKI NIE MIAŁ 5 TYSIĘCY

Szanowny Panie Redaktorze!

W artykule pt. „Uczczenie Poety. Nagroda poetycka dla St. Balińskiego" (ŻYCIE nr 13 z dnia 27 marca rb.; rubryka „Wieczory londyńskie") znalazł się następujący ustęp:

„Instytut Polski w W. Brytanii, o czym nareszcie, powstał, jak mówiła p. Ciołkoszowa, w roku 1946 r. „w pokoju pana konsula Poznańskiego" i miał najpierw 5 tysięcy funtów. Rychło jednak majątek stopniał do półtora tysiąca i dopiero wówczas Instytut rozwinął żywą działalność, zasilając wydanie wielu cennych pozycji literackich."

W związku z treścią przytoczonego ustępu oświadczamy, że nie jest prawdą, iż „Instytut miał najpierw 5.000 funtów". Jak wynikało z przemówienia p. Ciołkoszowej, Instytut Polski w W. Brytanii z przyrzeczonej subwencji rządowej w kwocie £ 5.000 otrzymał tylko i jedynie sumę £ 1.500, która w okresie minionego dziesięciolecia stanowiła podstawę finansową działalności Instytutu. Wobec tego nie odpowiadają rzeczywistości słowa artykułu, że „rychło majątek (Instytutu) stopniał do £ 1.500".

Prosimy Pana Redaktora o umieszczenie tego sprostowania w najbliższym numerze ŻYCIA.

Łączymy wyrazy prawdziwego poważania.

ZA INSTYTUT POLSKI W WIELKIEJ BRYTANII
Dr L. Ciołkoszowa Witold Czerwiński

Za mimowolnie wyrządzoną krzywdę szczerze przepraszamy Instytut Polski w W. Brytanii. **REDAKCJA**

Ż Y C I E Katolicki Tygodnik Religijno - Kulturalny. Wydaje Veritas Foundation Publication Centre. Adres Redakcji i Administracji: Polish Weekly ŻYCIE, 12, Praed Mews, London, W.2. England. Telefony: Redakcja: i Administracja: AMBassador 6879. Drukarnia: PADdington 9734. Godziny przyjęć w Redakcji: codziennie, z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt, tylko od godziny 3.30 do 4.30 po poł. Administracja czynna codziennie od godz. 9 do 12 i od 14 do 17 z wyjątkiem sobót, niedziel i świąt. Redakcja rękopisów nie zwraca. W wyjątkowych wypadkach, na ewentualny zastrzeżony zwrot, prosimy dołączyć znaczki pocztowe. P R E N U M E R A T A płatna z góry i wynosi miesięcznie 4 szyl. 6d., kwartalnie 13 szyl., półrocznie 26 szyl. WPŁATY a) **w krajach bloku szterlingowego**: Postal albo Money Orderami lub czekami bankowymi „crossed" (//); b) **w krajach bloku dolarowego**: International Money Orderami lub zwykłym czekiem jakiegokolwiek banku amerykańskiego; c) **we wszystkich innych krajach**: do miejscowego przedstawiciela naszego pisma sposobem przyjętym w danym kraju lub międzynarodowym przekazem pocztowym. C E N Y O G Ł O S Z E Ń : 1 cal przez 1 łam — £ 1.0.0. w tekście — 50% drożej, na stronie tytułowej — 100% drożej. P R Z E D S T A W I C I E L S T W A i CENA PRENUMERATY W RÓŻNYCH KRAJACH: ARGENTYNA: Przedstawiciel — **„Libreria Polaca"**, Serrano 2076, Buenos Aires. AUSTRALIA: Przedstawiciele: **„Vistula" (Australia) Pty**, 77, Pitt Street, Sydney oraz **„Społem"**, 85 Wattle Avenue, Royal Park, Adelaide. S. A. BELGIA: Przedstawiciel — **E. Kułakowska**, 101, Rue Auguste Lambiotte, Bruxelles. Prenumerata kwart. 90 frs. BRAZYLIA: Przedstawiciel — **Z. Kietlińska**, Av. Batel 1514, Curitiba, Parana oraz **Rev W. Słapa**, Rua Marques de Abrantes 215, Rio de Janeiro. FRANCJA: Przedstawiciel Generalny — **„Libella" Librairie**, 12, Rue St. Louis-en-l'Ile, Paris IV. Prenumerata kwart. 540 frs. HOLANDIA: Przedstawiciel — **B. Gałas**, Pagelstraat 15A, Breda. KANADA: Przedstawiciele — **Canadian Mosaic Publishers**, Suite 1, 4118, Western Ave., Montreal 6, **International Book Service**, 57, Queen Str. W., Toronto i **„Radegast"**, 570, Aberdeen Ave., Winnipeg, Man. Prenumerata kwartalna $ 2.00. NIEMCY: Przedstawiciele: **S. Mikiciuk**, Gablonzerstrasse 7/I, (13 b) München 13, o r a z **„Informacja Prasowa"**, Posfach 86 (23) Quakenbrück. Prenumerata kwartalna 8 RM. NORWEGIA: Przedstawiciel: **B. Łubiński**, Fagerturveien 14, Bestun ved Oslo. STANY ZJEDNOCZONE: Przedstawiciele: **„Gryf Publications"**, 615, Henry Street, Utica N.Y. oraz **M. Kijowski**, 13171, McDougall, Detroit 12, Mich., oraz **J. Stojanowska**, 424, Ave „E", Bayonne, N. Jersey oraz **„Pomoc" — Eksport Import**, 761, Fillmore Ave., Buffalo 12, N.Y. Prenumerata kwart. $ 2.00. SZWAJCARIA: **Mgr A. Bocheński**, Case Postale 19, Fribourg 2. Prenumerata kwartalna 5.00 frs. SZWECJA. Przedstawiciel: **Mgr B. Kurowski**, Lund, Revingegatan 13 B. Prenumerata kwartalna 10 kr. WŁOCHY: Przedstawiciel: **Mme Z. Bulhak-Jelska**, via Salaria 300 C, Roma.

W sprawach PRENUMERATY i OGŁOSZEŃ prosimy porozumiewać się z przedstawicielami.

Printed by: Veritas Foundation Press, 12, Praed Mews, London, W. 2. Tel. PAD 9734.